Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 19. Września 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 38.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XII.

Odbicie jassyru.

Zaiste, byłaby na hrybeckiem polu dla młodej pani Łobodziny ostatnia wybiła godzina, gdyby nie jegomość i robotnicy jego, którzy zbierali ziarno padaliczne. Znaleźli ją, zabrali, przygarnęli. W pierwszej chwili coś się jej majaczyło, następnie postradała świadomość istnienia własnego.

W jassyrze ubycie jej przeszło w oczach Tatarów niepostrzeżenie. Lustracje jeńców odbywały się wprawdzie dosyć często, lecz w ten tylko sposób, że przeznaczony na to murza przechadzał się śród nich i opatrywał z wierzchu, dumnie na giaurów spoglądając z góry. O apelach Tatarzy wyobrażenia nie mieli. W lustracjach chodziło im bardziej o to, ażeby jeńców natchnąć strachem, aniżeli o dopatrzenie braków. To ostatnie obchodziło właścicieli pojedyńczych, którzy podczas pochodu czambułu zmuszeni pełnić służbę wojskową, oględzin odbywać nie mogli. Właściciel, naprzykład, pani Łobodziny od razu by poznał, że jej nie ma. Ten atoli zajętym był gdzie indziej: nieobecność jej przeto zafrasowała jeno Franusię, która rady sobie dać nie mogła. Krążąc w tłumie ustawicznie, szukała, pytała, wołała — nie dowołała się. Przyszło jej do głowy straszne jedno przypuszczenie: widziała jak się starościanka wozów czepiała — czy więc nie upadła i wóz jej nie rozjechał? Pocieszało ją to jeno, że nikt tego nie widział; nie mniej wszakże przeto w głowę zachodziła. Zniknięcie podobne przypisywać jeno mogła bądź cudowi, bądź też gwałtowi jakowemuś. Tak w jednym atoli, jak w drugim razie, nie pozostawało nic innego, jak przyjąć wypadek w znaczeniu czynu spełnionego, na który ratunku nie ma, i starać się zapomnieć o towarzyszce niedoli.

Czambuł posuwał się powoli i spokojnie, przechodząc kolejno z noclegu na nocleg. Z Popieluch ruszył, gdy już dzień był dobry; nic nie zapowiadało zmiany żadnej; Dzikie Pola znajdowały się niedaleko; jeńcy szli smutni w pośród wozów, okryci tumanami kurzawy.

Salwa broni ognistej, jaka się obiła o uszy ich nagle i niespodzianie, gdy tabor parów przebywał, stała się dla zrezygnowanych o ile nagłem, o tyle potężnem rozbudzeniem nadziei. Na salwę odpowiedzieli jeńcy okrzykiem radosnym.

Do wyzwolenia jassyru nie można było ani wybrać punktu sposobniejszego, ani zarządzić ataku stosowniej. Wyzwolenie nastąpiło wnet. Strzały dosięgły tatarskich woźniców i koni u wozów, skutkiem czego powstało wnet zamięszanie wielkie, szereg się rozerwał i jeńcy rzucili się hurmem w lukę, która się otworzyła naprost parowu, gdzie ich jazda tatarska ścigać nie mogła. Tłocząc się jedni przez drugich i wywracając się, jedni biegli, drudzy się staczali w dół, podczas kiedy spieszone szwadrony z zarośli wybiegały, szykowały się, broń nabijały i w linii stawały. Demonstracja ta dostateczną była do odpędzenia eskorty od wozów. Jazda tatarska uniosła się w pole. Piechota kozacka opanowała tabór i urządziła się wnet w takowym do dania odporu na wypadek zwrotu zaczepnego ze strony rabusiów.

W tejże samej chwili szwadrony, stanowiące skrzydła prawe i lewe, wynurzyły się z lasu i stosownie do rozkazu, bez oglądania się na nic, skoczyły naprzód z pochylonemi spisami. Skrzydłu lewemu, to jest szwadronom, którym za przewodnika służył Ostap, powiodło się lepiej. Miały metę krótszą, zachwyciły więc ordę z boku i nie było dzidy, któraby Tatara nie nadziała. Paręset trupów zwaliło się na ziemię; paręset koni pozostało bez jeźdców. Reszta w dzikiej rozsypce poszła światami. Ścigać ich było to samo, co ścigać wiatr w polu. Dla tego też rotmistrz zatrzymał szwadrony i, zostawiając jeden na pobojowisku, posłał drugi w kierunku do linii bojowej równoległym, a to w tym celu, ażeby nieść pomoc, jeżeliby gdzie takowa potrzebną się okazała. Rozporządzenie to było jednem z tych, które chlubnie świadczą o przezorności wodzów. Pomoc okazała się potrzebną na prawem skrzydle, gdzie jeźdźców tysiąc godziło na dwieście. Szwadrony, które na stanowisko prowadził Jurek, nie mogły się dostać do hrybeckiego kopca, bez zwrócenia na siebie uwagi nieprzyjaciela. Tatarzy, zaalarmowani wystrzałami, zoczyli je i mieli czas siłę ich rozpoznać. Zajmowali stanowisko dogodne, wnet przeto uszykowali się do boju w sławny półksiężyc i szykowanie się właśnie kończyli, kiedy szwadron z lewego przechodził mimo zdobytego przez pułkownika taboru. Pułkownik, poznawszy co się święci, wyprawił w tejże chwili jednę z setni po konie i sam z nią pospieszył. Przygotowywała się rozprawa, mogąca jeszcze Polakom zwycięztwo wydrzeć.

Szwadrony prawoskrzydłowe widziały wyraźnie szanse przeciwko sobie. Wyraźnym jednak był rozkaz. Wahać się nie

było można. Rotmistrz, kozak siwym ozdobion wąsem, uszykowawszy oddział, prowadził go przez burzany kłusem wyciągniętym, kierując się na środek szyku tatarskiego. Prowadząc, wstrząsał szablą w powietrzu i odzywał się od czasu do czasu głosem donośnym:

— Będzie taniec!... Trzymajcie się jeno, mołojce!...

Sadził przodem, spoglądając z pode łba na mające się zbiegnąć z tyłu skrzydło tatarskie ze skrzydłem.

— Trzymajcie się jeno!... — hukał.

I setnik ów i z szeregowych każdy widział przed sobą na szans dziesięć, dziewięć po stronie śmierci, jednę po stronie wyjścia ręką obronną.

Każdy, zastanowiwszy się, powiedziałby: szaleństwo! Niejeden zastanawiał się zapewne. W niejednym odezwać się musiało uczucie przywiązania do bytu. Było na to czasu dosyć, staja drogi i przebieranie się przez burzany dawały sposobność nie tylko do zastanowienia się, ale i do pomyślenia o bezpieczeństwie własnem. Dość było konia przytrzymać. Nie znalazł się jednak ani jeden, coby się dopuścił kroku, doradzanego przez instynkt samozachowawczy. Są bowiem chwile, są potrzeby, w których wzgląd na osobistość własną ustępuje względo ważniejszym, względom na osobistość zbiorową. Bezpieczeństwo a bezpieczeństwo, pożytek a pożytek, honor nawet a honor idą w tym razie w porównanie i człek się rzuca na oślep w objęcia śmierci. Wchodzi to do kategorji t. z. walki o byt. Człowiek, będąc istotą towarzyską, o towarzystwo walczyć nieraz i ginąć musi, dopełniając przez to powinności o ile świętej, o tyle naturalnej.

Kozacy i Piatyhorce, o których mowa, nie inaczej jak w poczuciu powinności, szli na śmierć pewną. Wiedzieli, że zatrzymując tę ordę, co groźne przed nimi rozwinęła siły, ułatwiają pułkownikowi zadanie odbicia jassyru.

Szli więc kłusem i dochodząc na odległość właściwą, na znak starego setnika kopnęli się w czwał.

Tatarzy wypuścili na nich najprzód chmurę strzał, następnie z krzykiem wielkim rzucili się naprzód. Okrzyk z piersi tysiąca: »ałła!« — zlał się w jedno z okrzykiem: »hura!«.

Hufiec polski wnet otoczon został i nastąpiło łamanie się jeźdźców pojedyńczych z obskakującymi ich napastnikami. Jeden rąbał się z kilkoma naraz. Trudność położenia dodawała i sił i odwagi i zręczności. Konie się tłoczyły, wspinały, wierzgały. Ludzie wściekle miotali się jeden na drugiego.

W największym nierównej tej walki wirze, szwadron lewoskrzydłowy nadbiegł z pomocą. Wichrem sunął traktem i wpadł w tłum. Wmięszanie się jego było rozstrzygającem. Tatarzy wnet uciekać poczęli.

Niebawem pokazał się i szwadron przez pułkownika prowadzony. Ten, poznawszy z daleka, co się dzieje, zajechał w sposób taki, ażeby wpędzić niedobitków tatarskich na trzęsawisko, rozlegające się poniżej nieco w dolinie, przez którą oni umknąć się starali. Manewr ten powiódł się w zupełności. Część znaczna najezdników wytonęła w błocie.

Zwycięztwo odniesione było zupełne. Rozprawa ostatnia dała w korzyści setek ze trzy jeńców, do ogólnego zaś bitwy rezultatu zaliczały się łupy odbite i jassyr wyswobodzony. Trupów i rannych liczba ogromna zalegała pobojowisko.

Pułkownik zarządził natychmiast ściganie niedobitków, zbieranie rannych i grzebanie zabitych. Do ścigania wyznaczył szwadronów cztery, które wypocząwszy, pociągnęły dalej traktem ku Dzikim Polom. Zadaniem ich było, nie dopuścić się zebrać pobitym Tatarom i wystraszyć ich z granic Polski. Do zbierania rannych i grzebania trupów pomoc podali mieszkańcy okoliczni. Odgłos zwycięztwa rozszedł się wnet po lesie i wywabił z futorów i kryjówek ludzi dużo, którzy się chętnie do roboty wzięli.

Wyzwoleni jeńcy, rzuciwszy się z taboru w zarośla, zbiegli najprzód w jar i następnie jarem dostali się w parów, w głębi którego sączy się Sawranka. Widok wody zatrzymał ich. Pragnienie było dolegliwością, co im dokuczała najbardziej. Zasiedli wzdłuż strumienia, jedni czerpali wodę dłoniami i do ust nieśli, drudzy kładli się i ciągnęli ją w siebie. Po zaspokojeniu pragnienia wszyscy prawie ablucje czynili, nie dla tego, ażeby przejąć się mieli zwyczajem tym od Tatarów, u których stanowi on część praktyk religijnych przez Proroka przepisanych, ale dla tego, żeby zdjąć z liców skorupę powstałą z kurzawy. Jaki taki głośno dzięki do Boga zanosił. W końcu sformowało się dwa szeregi ludzi, obojga płci i różnych stanów, siedzących na obu brzegach strumienia i czekających na następstwa dalsze. Byli tam szlachta, mieszczanie i chłopi, chrześcianie i żydzi, razem pomięszani. Spólność losu zatarła różnice wszelkie. Byli tam dorośli i małoletni. Dzieci trzymały się matek, te zaś, które od matek oderwano, garnęły się do kobiet. Na wszystkich znać było znękanie wielkie, połączone z wyrazem zadowolenia, jakie sprawiało odzyskanie wolności.

Pomiędzy nimi ze znajomych naszych znajdowała się Franusia jedna.

Ta, co się zadowolnienia tyczy, wyjątek stanowiła. Siedziała i pełne smutku oczy zatopiła w strumieniu, który u nóg jej cicho płynął. Myślała o pani Łobodzinie.

— Ot, gdyby się była gdzieś nie zapodziała... Byłaby teraz wolna... Mogłaby wrócić do ojca i ojciec by nie odepchnął jej... Z tem wszystkiem — w duchu dodała — gorzkiem by jej było życie... Tak męża kochała!

Co się z nim stało? o to nie pytała. Spotkać go mogło jedno z trzech: albo poszedł w jassyr przy czambule innym, albo też doznał losu, jaki niespodzianie spotkał Franusię i towarzyszy jej. Franusię zajmowała pani Krystyna, która się w taki tajemniczy zaprzepaściła sposób. Czemu się zaprzepaściła?...

Po niejakimś czasie pojawiać się zaczęły kobiety z futorów, przynosząc ze sobą posiłek dla jeńców: ta pałanicę, owa chleba bochenek, inna mleka hładuszczyk. Posiłek to był szczupły, nie wystarczający na obdzielenie wszystkich. To też dostawał się on dzieciom i słabym. Dzieci bez matek kobiety niektóre zabierały ze sobą i jedne odprowadzały napowrót, inne przyjmowały za swoje. Wskutek tego niejeden szlachetnie urodzony żyje obecnie w potomstwie swojem w stanie chłopskim.

Przyniesiono posiłek z futoru hrybeckiego. Przybyło ztamtąd kobiet cztery, pani Janowa, Nastka, jedna jeszcze dziewka i jedna mołodyca, każda coś przyniosła. Pani Janowa rozpowiadała o chorej, co się na futor przybłąkała i rozpytywała o nią, lecz nikt objaśnienia żadnego dać jej nie umiał. Nie trafiła na Franusię; gdyby zaś i trafiła — to co? Trudno było, ażeby się Franusia, na niewidziane, w przybłędzie na futor domyśliła pani Krystyny. Gdyby jej szukała, to nigdy tu, w takiem według jej mniemania wielkiem od miejsca w którem przepadła, oddaleniu.

Wyswobodzeni jeńcy, uwiadomieni o zwycięztwie, które los ich zapewniało, oczekiwali na rozporządzenie pułkownika.

Rozporządzenie to nadeszło niebawem. Przyniósł je z namiestników jeden. Pułkownik oddawał na odwiezienie jeńców w strony rodzinne zdobyte na Tatarach wozy i na ich wyżywienie znalezione na wozach artykuły, a przytem wołów i baranów z odbitych trzód ilość stosowną. Reszta łupów podlegała prawom zdobyczy wojennej, z wyjątkiem sprzętów kościelnych. Wozy iść miały pod eskortą wojenną.

Rozporządzenie to znalazło uznanie powszechne. Ponieważ jednak spóźniona dnia pora nie pozwalała puszczać się w drogę natychmiast, więc pułkownik kazał jeńcom rozdać żywność i być w pogotowiu do wymarszu nazajutrz.

Gdy przyniesiono żywność i rozdawano takową, namiestnik przechodził wzdłuż szeregów i zapisywał kto, jak się nazywa i zkąd pochodzi. Podawali się: od Zbaraża, od Wiszniowca, od Starokonstatynowa, od Latyczowa, od Winnicy etc., etc.. — kiedy zaś z kolei Franusi zapytał, ta odpowiedziała:

— Ze samego Lwowa...

— O?... — odrzekł namiestnik zdziwiony. — Jakże waszmościankę aż ztamtąd zagon zabrał?...

— Nie zabrał mnie ztamtąd ino z drogi... Jechałam z panią moją...

— Gdzież pani waszmościanki?

— Przepadła... jakoś trzy dni temu...

— jak się nazywa?...

— Pani Łobodzina.

— Łobodzina... powtórzył namiestnik. znam Łobodę Prokopa..

— Otóż to, rychtyk... żona jego.

— On żony nie miał...

— Jakto nie miał!... o! jeszcze co!... — ofuknęła się Franusia.

Namiestnik nie pytał więcej — poszedł dalej, zapisując.

Tymczasem rozdawano żywność i jeńce zabierali się spędzić noc w zaciszu le-

śnem nad brzegami Sawranki znosili drzewo, rozkładali ogniska i lokowali się najwygodniej jak mogli i umieli. W czambule jeszcze potworzone gronka gromadziły się niosąc sobie pomoc wzajemną. Tu stawiano szałas z nałamanych gałęzi i zgartywano liście na posłanie; tam fabrykowano rożny do pieczenia na nich rozdanego mięsa; owdzie pilnowano gotującej się strawy w kotłach przyniesionych z wozów i w garnkach pożyczonych na pobliższych futorach; gdzieindziej układano się przy ożywczem cieple palącego się z trzaskiem płomienia. Obóz leśny zarysował się malowniczo, pod postacią illuminacji brzegów Sawranki.

Wojsko wystawiwszy czaty i straże, zeszło także nad Sawrankę i obozowało, a raczej biwakowało opodal nieco. Żołnierze rozkoszowali. Po przymusowym przez dni kilka poście, dostali nakoniec wbród jadła. Za napój mieli wodę ze strumienia. To ostatnie nie każdemu do smaku przypadało. Niejeden pragnąłby, ażeby w krainie tej, mlekiem i miodem płynącej, Sawranka płynęła w rzeczy samej nie mlekiem, a miodem, i to syconym, kapucyńskim. Nie było jednak sposobu zaradzić temu. W kraju pozostającym pod grozą ustawiczną, ludzie myśleli o wszystkiem, tylko nie o napojach gorących, stanowiących artykuł zbytku. Wstrzemięźliwość zaprowadziła się sama przez się. Ci, co padalicznem żyli zbożem, woleli zboże to obracać na chleb raczej, aniżeli na gorzałkę, albo na piwo. Ztąd żołnierze nie mieli i mieć nie mogli ani piwa, ani gorzałki — nie wychodzili na tem źle, wszelako... przykrość im to sprawiało.

Z porządku rzeczy wypadało, ażeby pan Maciej, jedyny w okolicy przedstawiciel stanu szlacheckiego, zaprosił zwycięzkiego pułkownika wraz ze starszyzną wojskową na futor i uczęstował go czem chata bogata. U pana Macieja znalazłoby się i butelczyn kilka, od przypadku wielkiego w piasku zagrzebanych. Był drób, były wędliny, była omasta, były grzyby, były owoce suszone, był nawet chleb, tak, że na upartego dałoby się ucztę sporządzić i honeste zwycięzcę ufetować. Po uczcie tej atoli powstałyby pustki w obec nadchodzącej zimy, przez którą wyżywić należało ludzi tyle: dziesięcioro domowników stałych, dzieci dwoje, Jurka, spodziewanego z powrotem na zimę zięcia z pachołkiem, pasiecznika i chorą panią, razem dusz siedmnaście.

Wzgląd ten nie mógł nie przyjść na myśl człowiekowi, co własnemi pracował rękami. W pierwszej atoli chwili pan Maciej gotów był oddać wszystko. Gdy po wspólnej, odgłosem pierwszych wystrzałów wywołanej modlitwie z klęczek wstał, gdy stara pani Małuska o bieliznę starą zawołała, pa Maciej wyszedł z izby zamyślony, obrachowując w głowie równy podział zapasów zimowych. Zamierzał połowę na żołnierzy i jeńców oddać, połowę dla siebie i czeladzi zachować. Była to rzecz zdecydowana, i jeżeli medytował, to nie nad tem, czy oddać, czy nie oddać, ale nad tem, jak to przez zimę będzie.

— Ha... no... — powiedział wreszcie. Ściągniemy pasy na sobie, to jakoś to tam się wytrzyma...

W ten sposób odezwała się w nim natura polska. »Jakoś to tam się wytrzyma.«

Postanowił i czekał jeno końca bitwy, której wrzawa na futor dochodziła, ażeby postanowienie do skutku doprowadzić. Przewidywał, że tak żołnierze jak jeńcy, zwłaszcza jeżeli hufce polskie zwycięztwo odniosą, będą potrzebowali posilić się, bodaj chleba kawałkiem. Nareszcie wieść o zwycięztwie doszła uszów jego.

— Ano... — rzekł do siebie. — Panie!... dzięki Tobie...

Zakręciły mu się łzy w oczach.

Wyraz »zwycięztwo!« rozbrzmiewał po futorze. Niewiasty głowy potraciły i kręciły się po obejściu biegając tam i ówdzie.

Pani Maciejowa głośno płakała, w połowie z radości, w połowie dla tego, iżby Jurka swego co rychlej oglądnąć pragnęła.

Stara pani Małuska dawała rozporządzenia, tyczące się dostawienia na pole bitwy mleka kwaśnego i chleba. Ona to wyprawiła kobiet cztery pod dowództwem pani Janowej, która idąc parowem, natrafiła na zajmujących brzegi strumienia jeńców.

Dział się na futorze rozgardiasz, aż nadszedł Ostap, przynosząc wiadomości pewne i pod każdym względem pomyślne.

Dla pana Macieja w osobie Ostapa przybywała pomoc, we względzie powziętego przezeń postanowienia równego podziału zapasów i dostawienia połowy takowych na miejsce przeznaczenia.

— No...— rzekł, gdy się stary wygadał — chodź-że ty zemną do szpichlerza...

— A cóż to jegomość robić zamyśla?... — zapytał stary. — Dzień dzisiejszy poświętować chyba się godzi...

— O głodzie święto kością w gardle stanie...

— Komu?...

— No... naszym... jeńcom z jassyru uwolnionym i żołnierzom...

— Ahi!... jegomościu!... — zawołał dziad przeciągle. — Niech was o to głowa nie boli! Mają oni, Bogu dzięki, tyle, żeby się z wami podzielić mogli... Tatarliugi wieźli plon bogaty: nasi wszystko odbili...

— Ale... co się żywności tyczy?... — zauważył pan Maciej.

— Mąka, krupy, suchary, chleb, barany, woły: czy to nie żywność?... e... nie troszczcież się wy o nich!...

Wielkie wiadomość ta jegomości sprawiła zadowolenie. Podniósł oczy do góry, odetchnął i głową wstrząsnął. Ciężar nie mały z serca mu spadł. Podziękował wewnętrznie Panu Bogu i tyle nad sobą mocy okazał, iż nie zrobił tego, co by na miejscu jego zrobił był szlachcic każdy. Któryż bowiem, na miejscu jego, uczty dla pułkownika by nie sprawił? Uczta napraszała się sama niejako. Zwycięzki wódz zasługiwał na nią; oszczędzone zaś zapasy zimowe uważać było można za darowane. Wszystko za nią przemawiało, a to tem mocniej, że do wszystkiego tego łączyła się jeszcze i ta niemałej wagi okoliczność, że syn pana Macieja pozostawał pod rozkazami pułkownika. Od pułkownika zależała promocja Jurka. Pan Maciej wszakże, acz szlachcic, był jednakże inaczej jakoś zorganizowany. Może położenie, wyjątkowe poniekąd, w jakiem się znajdował, wpływało na to, że i własną pracę szanował i o jutrze myślał. Przezorność nie stanowi zalety szlachcica polskiego. On tę zaletę posiadał właśnie i pomimo, że się nie zawahał w postanowieniu oddania zapasów, jak nie zawahałby się w ważeniu życia w razie potrzeby, powstrzymał się jednak od uczty. Ani o niej pomyślał. Na ostatnie, przez Ostapa wyrzeczone wyrazy, taką dał odpowiedź:

— Jeżeli tak, to i dobrze... Potrzeba jednak dostawić na pole bitwy płótna starego i przewiązek... bo to, gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą...

— Zapewne... nie wiem... Rannych pomiędzy naszymi nie widziałem..

Ostap przybywał od szwadronu z lewego skrzydła, którym powiodło się dobrze i prędko, i wracał mimo taboru, którego zdobycie, dzięki trafności rozporządzeń, dokonało się z łatwością. Spotkania na skrzydle prawem nie widział i nie wiedział o niem. Co do rannych przeto pozostawał w nieświadomości zupełnej i nie przypuszczał, ażeby liczba ich znaczną być mogła. Mimo to, ochoczo i skwapliwie do przysposobienia potrzebnych do opatrywania ran rzeczy rękę przyłożył. Napchano dwa spore worki bielizną przenoszoną, dodano do tego nici i igieł, maści na plastry, wody czemś zaprawnej do obmywania ran i hubki do tamowania krwi. Jegomość poszedł do piwnicy, wyniósł butelek sześć i włożył takowe po trzy do worka każdego. Zawieszono worki na kłapouchej. Przygotowania nie zabrały czasu i pół godziny.

— A toż co, mamo!... — zawołał jegomość, ujrzawszy starą panią Małuską z chustką na głowie i z laską w ręku, jakby iść dokądeś miała.

— A no... i ja z wami... — odparła staruszka.

— Ależ... o!... — odrzekł pan Maciej perswazji tonem.

— Pójdę... Krew zamawiać umiem, to tam się przydać mogę...

Powiedziała to tak stanowczo, że nie pozostawało nic innego, jak przyjąć ją za towarzyszkę wyprawy. Staruszka wzięła ze sobą ku pomocy jednę z niewiast służebnych. Tak we czworo — pan Maciej i Ostap, stara pani Małuska i mołodyca, udali się na pole bitwy, niosąc pomoc potrzebującym.

Ostap nie poprowadził od razu, gdzie prowadzić należało. Potrzebujący pomocy znajdowali się od futoru niedaleko: potrzeba jeno było puścić się tą drogą, która przez las prowadziła do kopca, od którego nieopodal znalezioną została chora pani. Zamiast tego dziad wziął się parowem, wzdłuż strumienia i wyszedł wprost na tabor, stojący wciąż na miejscu tem samem. Gdy tam przyszli, było właśnie po uzupełnieniu zwycięztwa. Szwadrony schodziły z pobojowiska. Pojedyńczy jeźdcy wracali.

*

Oddział jeden prowadził zabranych do niewoli Tatarów. Pułkownik z konia zsiadł, kołpak z głowy zdjął i łysinę sobie chustką obcierał.

Ostap pokazał palcem pułkownika jegomości. Ten podszedł ku niemu, kapuzy uchylił i pozdrowił:

— Mościwemu panu i dobrodziejowi!... powinne służby moje...

— Asanu dobrodziejowi!... — odrzekł pułkownik, ujrzawszy szlachcica przed sobą. — Z kimże mam honor?...

— Maciej Maluski... do usług...

— Ojciec zapewne towarzysza tegoż nazwiska?...

— Tak jest, mości pułkowniku...

— Przedewszystkiem — podchwycił ten ostatni — należy się waszmości podziękowanie za dostawienie nam przewodników doskonałych, mianowicie zaś pasiecznika, który, rzec mogę, zwycięztwo sprowadził...

Pan Maciej ramionami wzruszył i głową zarazem kiwnął, jakby i podziękowanie przyjmował i przeciwko takowemu protestował.

— Gdyby nie pasiecznik — ciągnął pułkownik — kto wie, jakby się było obeszło...

— Przybywam, mości pułkowniku, z gałganami, z maścią i z hubką...

— A! dla rannych... Przyda się to...

— Rannych nie widzę...

— Ba! Bo oni tam...

Tu pułkownik ręką wzdłuż traktu wskazał.

— Przy kopcach hrybeckich!... — podchwycił Ostap. — O!... Toż tam bili się chyba?...

— I jak jeszcze!... Powiedzieć można, iżeśmy się nie bili nigdzie, jeno tam...

— Kiedy tak — podchwycił pan Maciej — to w tamtą nam stronę spieszyć potrzeba... Chodźmy...

Ruszył przodem. Wnet jednak, jakby sobie co przypomniał, zatrzymał się, podszedł do kłapouchej, rozwiązał worek jeden i drugi, z jednego i drugiego po butelce wyjął i pułkownikowi obie podał.

— Phi!... — zawołał ten ostatni. — Specjały jakieś?...

— Miód, mości pułkowniku...

— Wypijem chyba razem...

— Ofiaruję to waszmości na pokrzepienie... Ofiarowałbym wojsku całemu, ale, Bóg widzi, uchowałem jeno butelek ośm: z tych dwie niech waszmość przyjąć raczy, cztery mam tu dla rannych, dwie zaś zostawiam sobie...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AFORYZMY SZOPENHAUERA.

POJEDYNEK.

I.

Istnieje pewien rodzaj honoru, zupełnie różny od tego, jaki obiega ogólnie i wszędzie, o którym Grecy ani Rzymianie nie mieli najmniejszego pojęcia, ani Chińczycy, ani Hindusy, lub Mahometanie. Narodził się on w wiekach średnich, a zaaklimatyzował jedynie w Europie, i tu wszakże tylko wśród malutkiej frakcji społecznej, a mianowicie wśród klas wyższych i takich, które je naśladują. Jest to *honor rycerski*, albo *punkt honoru*.

Tu honor nie zasadza się na opinji innych o nas, lecz jedynie na objawach tej opinji: mniejsza o to czy objawiona opinja istnieje rzeczywiście lub nie, a tem bardziej czy jest lub nie jest uzasadnioną; a zatem świat może mieć o nas najgorsze zdanie z powodu naszego postępowania; może nami pogardzać ile tylko zechce; to nic nie szkodzi naszemu honorowi dotąd, aż kto nie pozwoli sobie powiedzieć tego głośno. Lecz na odwrót, gdyby nawet nasze przymioty i czyny zmuszały cały świat do szacunku dla nas, dość będzie jednej osobistości, choćby to była osobistość zła i głupia, byle tylko odezwała się o nas wzgardliwie i oto honor nasz splamiony, stracony na zawsze, jeżeli go nie oczyścimy. Jest to fakt, który wskazuje dobitnie, że tu nie idzie o samą opinję, lecz jedynie o jej objawy zewnętrzne, gdyż wyrazy obraźliwe mogą być cofnięte, można za nie przeprosić, a wtedy uważa się jakby nie były wypowiedziane. Kwestja, czy opinja, która je wyrzekła, zmieniła się i dla czego? nic tu nie znaczy; unieważnia się sam objaw i wszystko jest w porządku. Cel więc, jaki się ma na widoku, nie jest zasłużyć na szacunek, lecz go dla siebie wymusić.

Honor człowieka nie zależy na tem co *on czyni*, lecz na tem co *jemu czynią*, na tem co go spotyka. Spoczywa on więc w ręku każdego, lub poprostu zawieszony jest na końcu pierwszego lepszego języka, byle go dotknąć, w tej chwili honor stracony jest na zawsze, chyba że go obrażony odbierze siłą. Zaraz będziemy mówili o formalnościach, za pomocą których przywraca się go. Z tem wszystkiem podobna operacja połączoną być musi z niebezpieczeństwem życia, wolności, majątku i spokoju sumienia. Postępki człowieka choćby były najszlachetniejsze, serce jego najczystsze, umysł najświetniejszy, wszystko to nie przeszkadza, ażeby honor jego nie przepadł z chwilą, gdy się podoba jakiemukolwiek indywiduum obrazić go; i byle tylko nie przekroczyło przepisów tego rodzaju honoru, indywiduum to może być najwstrętniejszym łotrem, najgłupszem bydlęciem, próżniakiem, szulerem, słowem istotą niegodną, ażeby obrażony na nią spojrzał. Zwykle nawet tego rodzaju kreatury najbardziej zwykły obrażać, i już Seneka uważał, że człowiek im więcej jest pogardzany, tem więcej język rozpuszcza; i właśnie najczęściej na człowieka szlachetnego taka istota wstrętna najzajadlej się rzuca, gdyż kontrasty nienawidzą się, a widok cnót i przymiotów, obudza zwykle wściekłość w duszy nędznika.

Widzimy więc, ile tacy ludzie winni wdzięczności zasadom tego rodzaju honoru, który stawia ich na równi z ludźmi wyższymi od nich pod każdym względem. Niech takie indywiduum rzuci obelgę, to jest przypisze innemu co niegodnego, to jeżeli ten nie zmaże prędko zniewagi krwią, to utrzyma się ona prowizorycznie jako prawdziwa i uzasadniona, jako wyrok mający moc prawa. Inaczej mówiąc: znieważony zostaje w oczach wszystkich „ludzi honoru" tem, czem go znieważający, choćby ostatni z ludzi nazwał, albowiem „schował obelgę do kieszeni". Odtąd „ludzie honoru" będą nim głęboko pogardzali; unikać go będą jak zarazy; nie zechcą np. jawnie i otwarcie, bywać w towarzystwach gdzie go przyjmują i t. p. Sądzę, że mogę słusznie odnieść do wieków średnich początek tego chwalebnego uczucia. Rzeczywiście C. W. Wachter powiada, że do XV. wieku w procesach kryminalnych nie oskarżyciel miał obowiązek dowiedzenia winy, lecz oskarzony swej niewinności. Dowód taki mógł osiągnąć przez przysięgę oczyszczającą, do której potrzebował mieć świadków, którzyby przysięgli, iż są przekonani, że jest on niezdolny do krzywoprzysięstwa. Jeżeli świadków znaleść nie mógł, lub gdy ich oskarzyciel wyłączył, wtedy miał miejsce sąd Boży, który stanowił zwykle pojedynek. Gdyż „oskarzony" stawał się „znieważonym" i winien był oczyścić się z tej zniewagi. Oto porządek tego pojęcia „zniewagi" i całej tej procedury, praktykowanej po dziś dzień jeszcze pomiędzy „ludźmi honoru", oprócz przysięgi.

To nam tłómaczy także głębokie oburzenie „ludzi honoru," gdy widzą się oskarzonymi o kłamstwo i krwawą zemstę jakiej za to szukają; co tem bardziej zadziwia, ile że kłamstwo jest rzeczą powszednią. W Anglji zwłaszcza, fakt ten wzrósł do zabobonu głęboko zakorzenionego. Ktokolwiek grozi śmiercią temu, co mu zarzucił kłamstwo, powinien być chyba pewny, że nigdy w życiu nie skłamał. W tych kryminalnych procesach średnich wieków, miała miejsce procedura jeszcze nawet krótsza; zasadzała się na tem, że oskarzony odpowiadał oskarzycielowi: „Skłamałeś", poczem zaraz odwoływano się do sądu Bożego: ztąd to pochodzi w kodeksie rycerskiego honoru obowiązek natychmiastowego uciekania się do broni, gdy kto komu zarzuca kłamstwo. Oto co dotyczy obelgi. Ale istnieje rzecz gorsza od obelgi, coś tak okropnego, że muszę przeprosić „ludzi honoru" za wzmiankę o tem; wiem, że na samą myśl taką schwycą ich dreszcze i włosy im powstaną na głowach, albowiem rzecz ta jest *summum malum* wszystkich okropności na ziemi, gorsza od śmierci i potępienia. Może się zdarzyć rzeczywiście *horribile dictu*, może się zdarzyć, że jedno indywiduum zaaplikuje drugiemu policzek. Otóż to jest zdumiewająca katastrofa; sprowadza ona śmierć honoru tak zupełną, że gdy wszelkie inne uszkodzenia honoru można uleczyć prostem skaleczeniem, takie, dla radykalnego uleczenia wymaga, ażeby zabić.

Zarówno jak być znieważonym, jest hańbą, znieważyć—jest honorem. Niech prawda, prawo i rozsądek będzie po stronie mego przeciwnika, lecz bylem go znieważył, nie pozostaje mu jak liść do djabła ze wszystkiemi swoimi zasługami; prawo i honor są po mojej stronie, a on prowizorycznie honor utracił, aż dokąd go sobie nie przywróci; czy może za pomocą prawa i rozsądku sądzicie? — nie — pistoletem lub szpadą. Niech podczas dyskusji lub prostej rozmowy, ktokolwiek rozwinie znajomość większą przedmiotu, większą miłość prawdy, sąd zdrowszy, więcej rozsądku, słowem niech okaże przymioty umysłu, które nas stawiają w cieniu, możemy zniszczyć od razu całą jego wyższość, pokryć nasze umysłowe niedołęztwo i stanąć z kolei wyżej — rzuciwszy mu w oczy obelgę. My wtedy jesteśmy zwycięzcami i honor jest po naszej stronie: prawda, wykształcenie, inteligencja, rozum, wszystko powinno zebrać manatki i zmykać przed boskiem grubjaństwem. To też „lu-

dzie honoru“ w razie gdy kto objawia inne zdanie, albo rozwija więcej rozsądku, zaraz gotowi są wyjeżdżać na swoim koniku. Gdy w sprzeczce brak im argumentów, poszukują grubjaństwa, co równie jest użytecznem a daleko łatwiejszem, poczem oddalają się w tryumfie. Potem cośmy wyłożyli, czyż nie da się racjonalnie powiedzieć, że honor uszlachetnia zwyczaje towarzyskie? Sąd najwyższy, do którego w sprawach honoru można odwołać się od jakiejkolwiek instancji — jest siła fizyczna, to jest zwierzęcość. Albowiem każde grubjaństwo jest, prawdę mówiąc, odwołaniem się do zwierzęcości, w tym sensie, że stawia niekompetencję walki sił umysłowych i prawa moralnego, podstawiając w zamian walkę sił fizycznych; w gatunku *człowieka*, którego Franklin określa „zwierzę sporządzające narzędzia“ walka taka odbywa się przez pojedynek, za pomocą broni, specjalnie w tym celu zfabrykowanej i sprowadza wyrok bez apelacji. Ta maksyma zasadnicza oznaczoną jest, jak wiadomo, przez wyrażenie: *prawo siły*, co prowadzi do ironji: konsekwentnie *honor rycerski*, powinien się nazywać: *honorem pięści*.

Honor mieszczański jest nadzwyczaj skrupulatny na punkcie *twoje* i *moje*, na punkcie zobowiązań i danego słowa; na odwrót, honor rycerski, wyznaje w tych wszystkich okolicznościach zasady najszlachetniej liberalne. I rzeczywiście, jedno jest tylko słowo, które dotrzymać należy: „słowo honoru“ to jest słowo, po którem dodaje się: „na honor“, zkąd powstaje domniemanie, że każde inne słowo można złamać. Lecz nawet w wypadku złamania słowa honoru, honor może być uratowany zapomocą środka, o którym mowa — pojedynku: możemy się bić z tymi, którzy utrzymują żeśmy słowo honoru dali.

Ani Grecy, ani Rzymianie, ani ludy najbardziej ucywilizowane Azji, tak w starożytności jak i w czasach dzisiejszych, nie wiedzieli ani słówka o takim honorze i o jego zasadach. Wszystkie te narody znały tylko honor, któryśmy nazwali mieszczańskim. U nich, człowiek ma taką wartość, jaką mu nadają jego postępki, a nie nadaną mu przez pierwszy lepszy zły język. U wszystkich tych ludów to, co kto mówi lub czyni, może nadwerężyć honor jego własny, ale nie honor innych. Uderzenie, u tych narodów nie jest czem innem jak tylko uderzeniem, takiem, jakie może każdego spotkać od konia lud osła. Uderzenie może spowodować gniew lub zemstę natychmiastowe, ale nic nie ma wspólnego z honorem.

Co do lekceważenia i pogardy życia, ludy te nie ustępują w niczem chrześciańskiej Europie. Grecy i Rzymianie byli bohaterami skończonymi a zupełnie nie znali „punktu honoru“. Pojedynek u nich nie był rzeczą klas szlachetnych, lecz nikczemnych gladjatorów, niewolników opuszczonych i skazanych kryminalistów, którym kazano bić się z sobą i z dzikiemi zwierzętami dla zabawy ludu. Po wprowadzeniu chrześciaństwa igrzyska gladjatorów zniesiono, lecz na ich miejsce i to w pełni chrześcianizmu ustanowiono pojedynek, za pomocą sądów Bożych. Jeżeli pierwsze były okrutną ofiarą poświęconą ciekawości publicznej, to pojedynek jest również okrutnym, jest ofiarą, która poświęca i morduje nie kryminalistów, niewolników i więźniów, lecz ludzi wolnych i szlachetnych.

II.

Historja przechowała nam mnóstwo dowodów, przekonywających, że starożytni nie znali podobnego przesądu. Gdy n. p. naczelnik Teutonów proponował Mariuszowi pojedynek, bohater ten kazał mu odpowiedzieć, że, „jeżeli mu życie obrzydło, to może się powiesić“, posyłając mu jednocześnie gladjatora, z którym mógłby się bić ile zechce. Czytamy w Plutarchu, że Eurybiades, dowódzca floty, dyskutując z Temistoklesem, miał podnieść laskę chcąc go uderzyć; nie widzimy wcale ażeby ten wyciągnął szpadę; powiedział tylko: „Bij ale słuchaj.“ Co za oburzenie musi uczuwać czytelnik, „człowiek honoru“ nie znajdując w Plutarchu, ażeby korpus oficerów ateńskich oświadczył, iż nie chce dłużej służyć pod tym Temistoklesem.

Pewien ustęp Platona dowodzi, że starożytni nie mieli nawet najmniejszego poczucia tego punktu honoru rycerskiego. Sokrates, wskutek licznych swoich dysput, często był narażony na zniewagi, co znosił z największym spokojem; pewnego dnia, dostawszy uderzenie nogą, przyjął to bez gniewu i rzekł do kogoś, który się dziwił: „czy gdyby mnie osioł kopnął poszedłbym na skargę?“ Innym razem gdy mu ktoś powiedział: „Ten człowiek gwałtownie na ciebie napada; czy Cię tem nie znieważa?“ Sokrates odrzekł: „Nie, gdyż to co mówi, nie odnosi się do mnie.“

Stobiusz przekazał nam długi ustęp z Musoniusza, który pozwala zdać sobie sprawę ze sposobu, w jaki starożytni załatwiali sprawy o obelgi; nie znali oni innej drogi jak otrzymanie satysfakcji od trybunałów, a mądrzy pogardzali i tem nawet. Można widzieć w *Gorgiaszu* Platona, że to był jedyny sposób wynagrodzenia za policzek. To samo wypływa z opowiadania Aulu Gella o niejakim Luciuszu Veratiuszu, który bawił się, przez złośliwość, bez żadnej przyczyny, wymierzaniem policzków obywatelom rzymskim, których spotykał na ulicy: dla uniknienia długich formalności, kazał niewolnikowi nosić za sobą worek miedzianej monety i wypłacać, stante pede, zdziwionemu przechodniowi legalną grzywnę 25 asów. Crates, sławny filozof-cynik, dostał od muzykusa Nicodroma taki siarczysty policzek, że twarz mu cała spuchła i krwią zaszła; wtedy przywiązał sobie do czoła deseczkę z napisem: „Nicodrom to zrobił“, co okryło tego fleciste ogromnym wstydem, że popełnił czyn tak grubiański względem człowieka którego cały Ateny czciły i uwielbiały. Mamy także w tym przedmiocie list Diogenesa z Synopy, pisany do Mellesippy, w którym opowiadając jak go obili kijami Ateńczycy, dodaje, że nic sobie z tego nie robi. Seneka w księdze *De constantia sapientis* traktuje szczegółowo o zniewadze, ażeby dowieść, że mądrość nią pogardza. W rozdziale XIV mówi: „Lecz mędrzec dostawszy policzek co ma uczynić? To co Katon dostawszy w twarz. Nie wybuchnął, nie mścił się, nie przebaczył nawet obelgi, lecz zaparł ażeby miała być spełnioną.“

— Tak, powiecie, ale to byli mędrcy.

— A wy, wy jesteście głupcy? — Zgoda.

Widzimy więc, że wszelkie te zasady rycerskiego honoru były starożytnym nieznane, właśnie dla tego, że ci zapatrywali się na rzeczy z punktu naturalnego, bez uprzedzenia, nie pozwalając się ograniczać takiego rodzaju głupstwami. Tak więc w uderzeniu w twarz nie widzieli nic innego nad to, czem ono jest rzeczywiście, uszczerbkiem fizycznym, gdy tymczasem dla ludów nowożytnych jest ono katastrofą, tematem do tragedji, jak np. w *Cydzie* Corneilla, w dramacie niemieckim zatytułowanym *Siła okoliczności* a który powinien raczej nosić tytuł *Siła przesądu*. Jeżeli kiedy w paryzkiem zgromadzeniu narodowem będzie dany policzek, rozlegnie się on po całej Europie. Zalecamy „ludziom honoru“ ażeby przeczytali w *Jakóbie fataliście*, tem arcydziele Diderota, historję *Pana Desglands* *) znajdą tam typ niedościgniony nowożytnego honoru rycerskiego, którym się będą mogli delektować i zbudować do syta.

Z wszystkiego cośmy powiedzieli, dostatecznie wynika, że zasada honoru rycerskiego nie jest zasadą pierwotną, opartą na ludzkiej naturze; jest ona sztuczną a początek jej łatwo odnaleźć. Jest ona dzieckiem wieków, w których pięście były więcej wyćwiczone niż głowy i w których księża więzili rozsądek, tych wieków średnich, tak słynnych z rycerskości. W owych czasach, Pan Bóg nie tylko miał czuwać nad nami, lecz i sądzić za nas. To też sprawy sądowe drażliwe decydował *Sąd Boży*, który zasadzał się z małemi wyjątkami na walkach szczególnego rodzaju nie tylko między rycerzami, lecz i między mieszczaństwem jak tego dowodzi piękny ustęp w *Henryku VI* Szekspira. Walka w Sądzie Bożym była najwyższą instancją, do której można się było odwołać od wszelkiego wyroku. Tym sposobem nie rozum był trybunałem, ale siła i zręczność fizyczna, czyli zwierzęcość. W naszych jeszcze czasach, pomiędzy ludźmi, którzy stosują się do takich pojęć, nie najwykształceńsi i nie najrozumniejsi upatrują ostateczną rację w sprzeczce, która sprowadza pojedynek. Są to pojęcia przejęte dziedzicznie i tradycjonalnie...

Nie sięgając do jej źródła, zasada honoru rycerskiego ma na celu zapewnić sobie za pomocą groźby siły fizycznej zewnętrzne świadectwo szacunku, który sądzi zbyt trudnym lub zbytecznym do nabycia w rzeczywistości. Jest to prawie tak, jak gdyby ktoś ogrzewając kulkę termometru dłonią, chciał dowieść, że w pokoju jest ciepło. Badając rzecz bliżej, oto jest zasada: tak samo jak honor mieszczański, mając na widoku pokojowe stosunki między ludźmi, zasadza się na opinii, że zasługujemy na pełne *zaufanie* gdy szanujemy prawa drugich; tak samo honor rycerski zasadza się na opinji, że należy się nas *bać*, jako gotowych bronić swych praw na zabój. Zasada, że należy wzbudzać obawę a nie zaufanie, nie byłaby tak fałszywą, bacząc na niewielką dozę sprawiedliwości ludzkiej, gdybyśmy żyli w stanie natury, gdzie każdy musi sam bro-

---

*) Oto jak Schopenhauer streszcza tę historję: «Dwóch ludzi honoru, z których jeden nazywał się Desglands, zalecało się do jednej kobiety: siedzą przy stole jeden obok drugiego naprzeciw damy, której uwagę Desglands stara się zwrócić na siebie ożywioną rozmową; podczas tego, oczy ukochanej osoby szukają bezustannie rywala Desglands'a zwracając na niego samego zaledwie roztargnioną uwagę. Zazdrość wywołuje u Desglands'a, który trzyma w ręku jajko, kurcz spazmatyczny; jajko pęka, a żółtko oblewa twarz rywala. Ten czyni ruch ręką; lecz Desglands chwyta ją i mówi mu doucha: «Uważam, jak gdybym go otrzymał.» Nastaje głębokie milczenie. Nazajutrz Desglands pokazuje się z policzkiem zalepionym wielkim okrągłym czarnym plastrem. Pojedynek miał miejsce i rywal Desglands'a został raniony ciężko, choć nie śmiertelnie. Desglands zmniejszył wtedy swój czarny plaster o kilka linij. Po wyleczeniu się rywala, drugi pojedynek. Desglands rani go znowu i znowu zmniejsza plaster. I tak pięć do sześciu razy z rzędu: po każdym pojedynku Desglands zmniejszał plaster, aż do śmierci swego rywala.

nić własnej osoby i własnych praw. Lecz zasada taka nie ma zastosowania w epoce cywilizacji, gdzie państwo przyjęło na siebie obronę osób i własności.

Z dwóch ludzi odważnych, powiadają, żaden nie ustąpi; z najmniejszej sprzeczki przyszłoby do obelg, razów, a nakoniec zabójstwa: lepiej więc dla przyzwoitości pominąć stopnie pośrednie i uciec się od razu do broni. Szczegóły procedury ujęte zostały w system, mający swe prawa i reguły, a który jest rzeczą najsmutniejszą pod słońcem; można bez zaprzeczenia widzieć w tem wspaniały panteon obłąkania. Lecz sam punkt wyjścia jest fałszywy; w rzeczach mniejszej wagi (ważniejsze pozostawiają się zwykle trybunałom), z dwóch ludzi mężnych jeden może odstąpić, a mianowicie mędrszy; jeżeli idzie o opinje, nie ma się o co sprzeczać. Utrzymują oprócz tego, że ta zasada rycerskiego honoru z jego pojedynkami, jest kolumną wspierającą dobry ton i piękne obejście towarzyskie; że jest hamulcem wstrzymującym wybuchy brutalstwa i grubiaństwa. Jednakże w Atenach, w Koryncie, w Rzymie było dobre, a nawet bardzo dobre towarzystwo i eleganckie obyczaje i ton dobry, bez uciekania się do rycerskiego honoru jako wędzidła. Prawdę powiedziawszy, kobiety nie królowały w towarzystwach starożytnych, jak u nas. Obecność kobiet w naszych towarzystwach przyczynia się bezwątpienia do tego, że odwaga góruje nad innymi przymiotami, gdy w rzeczywistości jest ona cnotą bardzo podrzędną, prostą zasługą podoficerską, w której zwierzęta nas przewyższają; czyż się nie mówi: „odważny jak lew“?

Lecz co więcej, zasada rycerskiego honoru jest bezpiecznem schronieniem dla nieuczciwości i złośliwości w sprawach większej wagi, a w mniejszych, przytułkiem bezczelności, bezwstydu i grubiaństwa, gdyż mało kto chce ryzykować życie, ażeby je ukarać.

Wszystkie więc przyczyny, jakie na usprawiedliwienie jej przytaczają, są mało uzasadnione. Możnaby z większą słusznością utrzymywać, że tak samo jak pies warczy gdy mu się grozi, a łasi się gdy go się pieści, tak samo jest w naturze ludzkiej, oddawać nieprzyjaźń za nieprzyjaźń, oraz unosić się i gniewać za objawy nienawiści i pogardy. Cycero już powiedział: „Wszelka zniewaga ma kolce, których ukłucie z trudnością znoszą nawet rozsądni i mędrcy“; i rzeczywiście nigdzie na świecie, prócz kilku sekt religijnych, nie znoszą ludzie spokojnie obelg, a tem bardziej razów. Z tem wszystkiem natura nie wskazuje nam nic po nad wyrównanie obrazy — obrazą; nie nakazuje nam karać śmiercią tych, co nam zarzucają kłamstwo, głupotę lub podłość. Stara maksyma germańska: „do policzka przez sztylet“ jest przesądem rycerskim oburzającym. W każdym razie zemsta za zniewagi — należy do gniewu, a nie do honoru i obowiązku. Pewniejszem jest, że zarzut znieważa w miarę tego, jak gdzie dosięga; czego dowodem jest, że najmniejsze słówko dotykające sprawiedliwie, rani daleko głębiej, aniżeli najcięższe oskarzenie nieuzasadnione. Tym sposobem, jeżeli kto sumiennie jest przekonany, że na zarzut nie zasłużył, może nim pogardzać i pogardzać będzie. Zasady honoru przeciwnie, wymagają od niego, ażeby okazywał podejrzliwość, której nie doświadcza, i mścił się krwią za zniewagi, które go wcale nie ranią. Bardzo kruche ma się przekonanie o swojej wartości, jeżeli się stara zgnieść każde słowo, mogące ją podać w wątpliwość.

„A więc, powiedzą znowu, człowiek mógłby, Boże uchowaj! okładać kijami drugiego człowieka?“

Często zadawałem sobie pracę, ażeby wynaleźć w naturze ludzkiej, zwierzęcej czy intelektualnej powód, któryby mógł usprawiedliwić pojęcie, zakorzenione w pewnej części rodzaju ludzkiego, że uderzenie jest rzeczą okropną: usiłowania moje były daremne. Uderzenie nie jest i nie będzie niczem innem, jak pokrzywdzeniem fizycznem, które każdy człowiek może uczynić drugiemu człowiekowi, niczego przez to nie dowodząc, jak tylko że jest silniejszy lub zręczniejszy, albo że drugi nie miał się na baczności. Analiza niczego więcej nie dostarczy. Prócz tego, widzę tego samego rycerza, dla którego uderzenie z ręki człowieka wydaje się nieszczęściem największem ze wszystkich, jak otrzymuje dziesięć razy silniejsze kopnięcie konia i zapewnia, ciągnąc za sobą skaleczoną nogę, że to drobnostka. Wtedy podejrzywałem, że to jest przywiązanem do ręki człowieka. Tymczasem widzę innego rycerza w walce, gdy otrzymał pchnięcie szpadą; i ten utrzymuje, że to bagatelka, o której niewarto mówić. Co więcej: przy pasowaniu na rycerza uderzenie płazem jest wielkim honorem. Otóż i wyczerpałem wszelkie przyczyny psychologiczne i moralne i nie pozostaje mi, jak uważać całą rzecz jako stary przesąd, głęboko zakorzeniony, jako nowy przykład obok wielu innych, że w człowieka wszystko wmówić można. Dowodzi jeszcze tego fakt dobrze znany, że w Chinach kij przyjęty jest jako kara cywilna i bardzo często stosowany nawet względem wysokich urzędników; tam natura ludzka, nawet wśród warstw najwykształceńszych, mówi inaczej jak u nas.

Prócz tego bezstronne badanie natury ludzkiej uczy nas, że uderzać jest taką samą właściwością człowieka, jak gryźć zwierząt mięsożernych, a bóść zwierząt rogatych; człowiek jest, właściwie mówiąc, *zwierzęciem bijącem*. To też jesteśmy oburzeni, słysząc, że człowiek jeden drugiego ugryzł; przeciwnie dawać i odbierać razy jest u człowieka równie naturalnem jak częstem. Łatwo zrozumieć, że ludzie z wyższem wykształceniem starają się unikać podobnych efektów, panując nad naturalną skłonnością; lecz jest to barbarzyństwem chcieć wmówić w naród cały, lub choćby w pewną jego warstwę, że być uderzonym jest wielkiem nieszczęściem, pociągającem za sobą obowiązek zabójstwa i morderstwa. Za wiele jest istotnych nieszczęść na świecie, ażeby wolno było powiększać ich liczbę i stwarzać imaginacyjne, sprowadzające w swych skutkach rzeczywiste; a to właśnie czyni ten głupi i złośliwy przesąd.

Czas już jest wygnać te bezwstydne resztki prawa mocniejszego. Dziś, gdy wzbronionem jest podburzać metodycznie psy i koguty do walki przeciwko sobie (w Anglji takie walki są już karane), możemy jeszcze widzieć stworzenia ludzkie, podburzane mimo chęci do śmiertelnych zapasów: to ten przesąd śmieszny, ta absurdyczna zasada rycerskiego honoru, nakazuje ludziom wierzącym w nią, dla pierwszej lepszej nędzoty bić się jak gladjatorom. Ma się istotnie materjał do śmiechu, patrząc na pedanckie formuły, z jakiemi odbywają się te warjacje. Niemniej jest oburzającem, że zasada ta, z bezsensowym swym kodeksem, stanowi państwo w państwie, które, nie uznając innego prawa jak prawo mocniejszego, tyranizuje warstwy społeczne, które są pod jego panowaniem, i zaprowadza trybunały kapturowe. Każdy może być zawezwany przez drugiego do stawiennictwa; powody zawezwania łatwe do wyszukania, stanowią obowiązki zbirów trybunału, i wyrok ogłasza karę śmierci dla stron obydwóch. Jest to oczywiście jaskinia, w głębi której stworzenie godne pogardy, byle należało do klasy podległej prawom rycerskiego honoru, może grozić, może zabijać ludzi najlepszych i najszlachetniejszych, których właśnie najnaturalniej nienawidzi. Ponieważ dziś sprawiedliwość i policja nabyły dość mocy, ażeby łotr jaki nie mógł nas zatrzymać na gościńcu i wołać: Pieniądze albo życie! byłby czas, ażeby i zdrowy rozsądek również uzyskał tyle władzy, by pierwszy lepszy łotr nie mógł nam mącić spokoju, wołając: Honor albo życie! Trzeba nakoniec uwolnić warstwy społeczne od ciężaru, jaki je przygniata; należy nam oswobodzić się od tej męczącej myśli, że możemy być w każdej chwili zmuszeni przypłacić życiem za brutalstwo, grubiaństwo, złość i głupotę jakiego indywiduum, któremu się podoba rozkiełznać na nas. Krzyczącym jest bezwstydem, widzieć dwóch młodych, niedoświadczonych zapaleńców, przymuszonych tarzać się we krwi za najmniejszą sprzeczkę. Oto fakt, dowodzący, do jakiego stopnia podniosła się tyranja tego państwa w państwie i dokąd doszła moc tego przesądu: widziano często ludzi zabijających się z rozpaczy, że nie mogli oczyścić obrażonego honoru rycerskiego, gdyż obrażający stał względem nich za wysoko lub za nisko, co czyniło pojedynek niepodobnym; nie jest że śmierć taka tragikomiczną?

Jeżeli rządy chcą rzeczywiście wytępić pojedynki, proponuję im prawo, za którego skuteczność ręczę, a które nie pociąga za sobą ani krwawych operacyj, ani szafotów, ani szubienicy, ani nawet wiecznego więzienia. Jest to przeciwnie malutkie, bardzo malutkie i łatwe lekarstwo homeopatyczne. Oto ono: ktokolwiek poszle lub przyjmie wyzwanie, otrzyma *à la chinoise*, wśród białego dnia, przed kurdygardą, dwanaście kijów z ręki policjanta; doręczyciele wezwania, również jak sekundanci, dostaną po sześć. Być może, iż *rycerz* jaki zarzuci mi, że po takiej operacji niejeden „człowiek honoru“ w łeb sobie strzeli; na to odpowiadam: lepiej jest, gdy taki warjat zabije sam siebie, aniżeliby miał zabijać drugich.

WSPOMNIENIA LEKARZA
z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Na statku. — Karambol. — Czerkies. — Stambulskie psy jako oprawcy. — Moskow — Pierwszy występ na scenie Caffé chantant uwieńczony oklaskami. — Osman i Mehemet Ali basza. — Moskal z poderzniętą szyją. — Godzina ordynacji w moszei św. Zofji. — Legion polski.

Towarzystwo podczas naszej codziennej wyprawy statkiem po morzu, w którego nurtach nie

jedna spoczywała tajemnica, składało się z tureckich lekarzy, jadących do Kumbarchane, baszibożuków, zabranych za opłatą połowy ceny, dalej z kilku za wolnym wstępem dziadów, już na pół świętych, (asceci chodzą po ulicach nago, ztąd u nas przysłowie: goły jak święty turecki), którzy ze względu na drogocenny czas, żebrali u pasażerów zawodzącym głosem. Znajdowali się tam także Grecy. Przekonałem się, że ci, którzy przed kilkoma miesiącami na okręcie tak agitowali przeciw Turkom, byli im nieprzyjaźni Grecy, ludzie charakteru dwuznacznego i zażywający tej samej sławy, co żydowstwo w Europie. Prawdopodobnie jeden taki hultaj z potomków Hellady wyciągnął po spartańsku koledze chirurgiczne etui, lecz nie pochwycono go na uczynku. Kobiety gderały na różnych częściach statku, w pawilonach oddzielonych płótnem. Gdy jeden z pasażerów statku przystąpił do mnie z zapytaniem »*frank effendi,*« sądziłem, że apeluje do mojej kieszeni o franka. Chodziło mu jednak o moją godność, a ponieważ każdy „*frank*« w ich oczach jest doktorem, więc głównie o konsultację. Ubodzy wzywali często mojej pomocy i rady.

Zdarzyło się raz, iż angielski statek zjawił się nagle z poza łuków mostu i skierował niespodzianie swój żelazny dziób ku piersiom naszego, szybującego spokojnie po powierzchni morza.

Przestrach ogarnął wszystkich, zdawało się że lada chwila nastąpi nieunikniony karambol. Zaledwie czasu wystarczyło, by dzieci usunąć z krawędzi na środek pokładu — gdy łomot statków dał się słyszeć. Jeden krzyk wyrwał się z ust wszystkich. Podskoczyliśmy w górę, ale trzymając się silnie żelaznych poręczy spadliśmy znowu na pokład. Zdecydowany na pływanie, z biciem serca oczekiwałem chwili, w której woda przez powstałe luki, wdzierać się zacznie i statek zanurzy się w głębię. Szczęściem złamał się tylko boczny maszt, a najezdnikowi nic się nie stało.

Najużyteczniejsza rzecz, zastosowana w niewłaściwej porze, traci urok. Uwagę tę nasuwa mi morska kąpiel, jaką mimowoli odbyłem, gdy przy wysiadaniu z kaiku belka po której chciałem się na ląd dostać, w skutek mojego ciężaru usunęła się w wodę.

Podczas innej przygody, baszybóżuk Czerkies, ubrany w kradzione buty Moskala, poznawszy we mnie giaura i nieprzyjaciela proroka, podjechał z koniem, obryzgując mnie błotem. Trudna była rada. On miał cały arsenał za pasem, ja tylko rewolwer. Szukając zaczepki, chciał poczęstować mnie kulą, a w owych czasach rozruchów można było zabijać bez zatargów z sądami. W ogóle Czerkiesi byli postrachem mieszkańców. Sam rząd dawał *saptiów* (żandarmów) pojedyńczym osobom dla obrony przed temi dzikiemi hordami Czerkiesów. Są oni odważni już skutkiem samego awanturniczego życia; a trzymani w porządku i karności wojskowej, stanowiliby niezrównany materjał wojenny.

W zimie padały ciągle deszcze, tak że czułem potrzebę ubrania a la Boyton, gdyż wiatr rozwiewając płaszcz deszczowy wlewał strugi wody do wysokich butów. Kilka kamieni na ulicy, położonych pewnie jeszcze za czasów Konstantyna Wielkiego, a sterczących jak wysepki, ułatwiało przejście przez ulicę, ale ześliznąwszy się, można było utonąć w morzu błota. Na przedmieściach, jedynie psy szakalej rasy leżąc na kupach śmieci i łachmanów, pełniły pod dowództwem najtęższego urząd sanitarnej policji, odszukiwały wszelką padlinę i sprowadzały na miejsce wypadku innych członków swej gromady.

Po zawarciu pokoju w St. Stefano, ożywiło się miasto bardzo. Przychodzili Moskale, zwani przez naszych emigrantów mochami, za urlopem do Stambułu. Ponieważ jednak miewali rozmaite przeprawy knajpowe, szczególniej z Anglikami, i gdy razu jednego trzech oficerów mochów wyrzucono za drzwi na świeże powietrze, ścieśniono swobodę i musieli ubierać się po cywilnemu. Lecz nie wiele to pomogło. Woń dziegciu i wyraz mongolskich twarzy zdradzał ich na każdym kroku. Napatrzyli i nasłuchali się rzeczy, jakich byliby nigdy nie doświadczyli, gdyby pozostali na swoich kwaterach. Urazy i złośliwe uwagi musieli cierpliwie i w milczeniu znosić. Gdy raz ludzie na nich się gapili, zawołał jeden z publiczności: nie macie na co patrzeć, *Moskow* to nie człowiek! W końcu gdy rozeszła się między nimi pogłoska, że Turcy zarzynają pojedyńczych batiuszków, z obawą tylko odwiedzali Konstantynopol. Chcieli oni koniecznie choć z jedną armię wpakować do stolicy i dla tego pod pozorem wielkanocnej spowiedzi wysłali o to petycję do sułtana, lecz naturalnie nic nie zyskali. Gdy pod pozorem manewrów wypadli raz po za San Stefano, przyszło mimo pokoju do małej utarczki Osman basza kazał zwalić wieżę, którą Totleben wystawił dla siebie do obserwowania pozycji tureckich. Mimo że łączył ich niegdyś węzeł przyjaźni, Osman basza, gdy Totleben mu chciał podać rękę, nie przyjął takowej mówiąc: wy dla mnie pozostaniecie na zawsze wrogami! Tak dalece na schyłku stała pokojowa polityka, że uznano za nieodzowne, zatknąć na naszym szpitalu sztandar z półksiężycem genewskiej konwencji.

Tysiące Polaków z caratu brało udział w kampanji. Imiona znacznej liczby pod Plewną poległych były polskie. Mowa i myśli łączyły nas z sobą. Poznałem wielu naszych, szczególniej Litwinów. Zapraszali nas do siebie do San Stefano i Siliwrji i wspominali, że w armji tęsknota za krajem wzmogła się do choroby. Przepędziliśmy niejeden wieczór wesoło, ale następnego dnia Liza pociągała mnie do odpowiedzialności za zmarnowany czas.

W pierwszych kilku tygodniach uskładane w Bałkanach pieniądze, Moskale poprzegrywali do ostatniej kopiejki w ruletę.

Jeden oficer sprzeniewierzył właściwym im sposobem z wojennej kasy 40.000 rubli. Dlatego byli oni dla Greków bardzo pożądanymi gośćmi. Policja turecka była zmuszoną bodaj dla oka zakazać gry hazardowe po Caffés chantants, ale przebiegli Grecy poprzemieniali pokoje, porobili poboczne drzwi i gdy raz policja miała się dobywać, odemknięto podwoje i wszyscy wyszliśmy osobnemi drzwiczkami — na scenę, gdzie właśnie produkowała się baletnica. Na widok takich aktorów na scenicznych deskach dały się słyszeć grzmiące oklaski i zapanował homeryczny śmiech. Bankier wpuścił straże sprawiedliwości do dalszych pokoi, dopiero gdy zgarnął złoto z miseczek.

Osmana baszę widywałem w seraskieracie. Ranienie jego pod Plewną wywołało żal powszechny. Gdy rozeszła się pogłoska, że umarł wskutek ran otrzymanych, rząd kazał drukować krocie egzemplarzy, które szybkonogie hamaty rozdawali po wszystkich dzielnicach bezpłatnie, by uspokoić mieszkańców, iż »*ghazi*« (zwycięzca) nie zostaje w niebezpieczeństwie życia, owszem jest na drodze polepszenia. Mąż ten w sile wieku, dziarskiej postawy, wygórowany fanatyk, z oczyma czarnemi, twarzy o wystających kościach policzkowych i wybitnych rysach wschodnich, doznawał najwyższego od wszystkich uwielbienia. Z niezwykłym entuzjazmem przyjmowano bohatera w Stambule po powrocie z niewoli. Mehemeta Ali baszę poznałem osobiście. Ten bardzo wesoły i towarzyski renegat Niemiec przychodził do Maltepe z głównej kwatery, którą miał w pobliżu nas koło Dahud basza.

W maju przyprowadzono do szpitala moskiewskiego sierżanta z poderżniętą szyją. Opowiadał on, że korzystając z urlopu zawieruszył się w nasze strony i zabłądził. Policja ujęła go, ukrytego w wagonie, w Makrikioi. Miał na głowie fez, a ponieważ myślał, że takowy wyłącznie tylko Turkom nosić wolno, że życiem opłaci, skoro się dostanie do ich rąk, wydobył z przestrachu scyzoryk, by dokonać samobójstwa. Wydawał się być szpiegiem i to przeświadczenie było prawdopodobnie pobudką do jego czynu.

Umiał on po polsku i wiedział, że jestem Polakiem a mimo to odzywał się w carskim języku, aż dopiero inaczej namyślił się za dni kilka. Musiał się dziwić, iż Polacy na każdym krańcu świata wyrastają jakby z ziemi. Abibej spisał z niego śledczy protokół po rosyjsku. Terczimam Jakób nie omieszkał przy tej sposobności dopytywać się więźnia o swoją Suremę w Warszawie. Gdy wyzdrowiał, oddaliśmy *ditiuszkę* w towarzystwie wąsatej niańki z bagnetem *batiuszce* Totlebenowi, by jego ekscelencja nie miała do nas urazy. Ukraść nie mógł nic, chyba tyfus i dysenterję, lecz nia zabrał tych z sobą do San Stefano, bo je już tam mieli pod dostatkiem.

Było od dawna mojem życzeniem zwiedzić moszeę św. Zofji, przerobioną z kościoła od czasów zajęcia Konstantynopola przez Turków. Udało mi się to bez wielkiego zachodu i bez *fermanu* (pisemnego pozwolenia), który trzeba okupywać zawsze Napoleonami. Wybrałem się tramwajem, przed którym biegł hamat murzyn z odkrytemi piersiami z pałką i trąbką w ręku roztrącając ludzi, by w ciasnych ulicach zapobiedz rozjechaniu.

Wysiadłem w okolicy, gdzie wznosi się powszechnie znana świątynia i ujrzawszy idącego ulicą *chodcza* (księdza,) zagadnąłem go, czyby nie chciał mi przewodniczyć. Oświadczył, że przyjąłby chętnie misję oprowadzenia mnie po świątyni, ale ponieważ nie należy do tej parafji, więc poleca mnie swoim kolegom. Ci zmierzyli mnie oczyma od stóp do głowy. Na zapytanie o ferman, udałem, że nie rozumiem znaczenia tych wyrazów i przemówiłem: „Effendowie jestem waszym przyjacielem, spełniłem wiele dobrego dla waszych rodaków w czasie wojny, ja lekarz" Hekim baszi, hekim baszi, ozwali się jednym głosem i nie dali mi skończyć oracji; ten czarowny wyraz zmienił ich na baranki. Nie wspominali już o fermanie, tylko zaczęli utyskiwać na fizyczne cierpienia. Wezwałem kapłanów, by przychodzili kolejno do głosu. Nastąpiła tedy długa litania dolegliwości. Jeden wskazywał na

głowę i skarzył się na nieporządek wewnątrz — pomyślałem: w tym kierunku potrzebaby wam wszystkim gruntownej reparacji. Drugi obwiniał swój żołądek—przeładował się w nocy, bo w dzień pościł. Trzeci narzekał, że mocno się poci, trudna rada, bo panowały właśnie tropikalne upały. Czwartego trapiły wyrzuty, lecz nie sumienia, iż mnie nie chciał wpuścić bez fermanu, tylko skóry. Nie koniec na tem; kazali mi teraz zapisywać recepty swoim żonom i dziatwie, co nie fraszka, podobnie jak ciemnemu bawić się w łapankę. Nie pozostało mi nic innego, jak przysionek moszei zmienić na zakład ordynacyjny. Hussein pobiegł po pióro i atrament, a Hadczi Mustafa zwołał jeszcze innych do konsultacji, i tak musiałem całą plebanię uzdrawiać, a jeszcze dotychczas nic nie oglądnąłem. W końcu przeznaczyli mi jednego za cycerona, ale temu była recepta za mało, prosił prócz tego o bakszisz i to zabezpieczył się jeszcze z góry — do tego miało się stosować oprowadzanie po moszei. W przysionku kazano mi zdjąć obuwie, więc poddałem się temu wyrokowi. Zostałem w pończochach, zostawiając trzewiki na przedmurku. Przypomniałem jednak sobie, że jaki chodcza mógłby się pokusić o spełnienie dobrego uczynku w imieniu proroka i gotów porwać takowe jako bakszisz; pięknie powracałbym do Pera. Wróciłem więc po nie, wziąłem pod pachę i poszedłem oglądać olbrzymi gmach, zdradzający kościół, z kopułą podobną do kopuły św. Piotra w Rzymie. Posadzka kamienna, świeżo wymyta po wychodźcach, była za zimna do chodzenia boso. Na ścianach, wyłożonych przeróżną mozaiką, szczególnie wiele złota; zamiast obrazów, wisiało kilka wielkich ram złotych z czarnymi napisami. Nie mogłem zrozumieć, co mają oznaczać u stóp kopuły cztery figury ze skrzydłami. Wspaniały pająk i mnóstwo drogocennych świeczników ordabiało wnętrze świątyni z iskrzącym tronem dla sułtana w głębi. Kamienne schody wiodły na galerję, gdzie chór się znajdował, a ztamtąd dostaliśmy się na szczyt. Gdy zeszliśmy, wręczył mi przewodnik pełną dłoń kamyków mozaikowych na pamiątkę, za ponownie uiszczony bakszisz.

Po stolicy błądziło wielu rozproszonych żołnierzy legjonu polskiego. Rzecz tak się miała. Do armji dunajskiej zgłaszali się ochotnicy, którzy niegdyś służyli w wojsku austryjackiem lub rosyjskiem, a dziś mieszkali nad Bosforem i utworzyli korpus z czterdziestu ludzi złożony, dziewiętnastu kawalerzystów a reszta piechurów. Z namowy rządu opuścili wkrótce szeregi wspomnianej armji i zostali wysłani w głąb Armenji. Zadaniem ich było zająć się uorganizowaniem w Trapezuncie umieszczonych jeńców, między którymi miało się znajdować kilka tysięcy Polaków, a wreszcie nakłaniać, przez rozpowszechnianie narodowych proklamacyj, wszystkie polskie żywioły do opuszczenia rosyjskich chorągwi. Tym sposobem miała ta szczupła garstka utworzyć turecko-polski legion z brańców i wychodźców i stać się zarodem przyszłej potęgi. Tymczasem historja o jeńcach była zmyśloną, Turcy zabrali wszystkiego ledwie kilkunastu Polaków w niewolę. Nie udało się też ściągnąć większej ilości wychodźców, mimo rozmaitych starań. Pewien renegat wspominał mi, iż Turcy strzelali do dezerterujących z rosyjskich szeregów, biorąc ich za wrogów. Prawdopodobnie nie była powszechnie Turkom wiadoma tendencja Polaków. Cały ów legion, który brał dwa razy udział w kampanii armeńskiej, niezadowolony z obchodzenia się z nim, po stracie jednego zabitego i dwóch rannych, poszedł w rozsypkę. Niektórzy wstąpili potem do regularnej armji z zatrzymaniem poprzednich stopni.

(Dokończenie nastąpi.)

Hubertyna Auclerc.

W Paryżu, wśród szerokiego koła znakomitości męzkich różnego rodzaju, są jeżeli nie znakomitości, to przynajmniej najwięcej na siebie zwracające uwagi trzy postacie kobiece, a mianowicie: pani Edmond Adam (Julietta Lamber), o której salonie literacko politycznym wiele byłoby do powiedzenia; Sara Bernhard, artystka dramatyczna, rzeźbiarka, poetka, malarka, o której mówiono i mówią aż do zbytku, nakoniec Hubertyna Auclerc, nie mająca żadnego ściśle oznaczonego stanowiska, lecz dobijająca się go w zamian dla wszystkich kobiet w ogóle.

Pomijając na teraz dwa poprzednie nazwiska, postaramy się przedstawić czytelnikom choćby w kilku słowach sympatyczną a przytem niezwykłą postać Hubertyny Auclerc. Pierwszy raz zwróciła ona na siebie uwagę podczas wojny 1870—71 roku, jako niezmordowana dozorczyni rannych. Następnie zapomniano o niej, aż dopiero w ostatnich latach nazwisko jej znowu rzuconem zostało na pastwę ciekawości publicznej, tak, na pastwę, a to od chwili gdy młoda infirmierka zamieniła się w kobietę domagającą się gwałtownie, namiętnie, bezwzględnego równouprawnienia tak dla siebie, jak i dla reszty swych współobywatelek. Panna Hubertyna Auclerc pod względem pojęć politycznych racjonalnie należy do skrajnej lewicy; bierze udział w zebraniach robotniczych, jest członkiem postępowych stowarzyszeń kobiecych, a często głos zabierając, dowiodła prawdziwego oratorskiego talentu, oraz szerokiej erudycji. Od roku walczy ona o uzyskanie dla kobiet prawa głosowania. W tym celu *La société du droit des femmes,* prowadzi pod jej kierunkiem prawdziwą propagandę. Jakkolwiek oryginalnemi wydawać się jeszcze mogą podobne pretensje w imię postępu, nie można im jednak odmówić przyszłości.

Hubertyna Auclerc, jako talentem swym stojąca na czele tego nowego budzącego się ruchu umysłów kobiecych, staje się przez to samo osobistością niepospolitą. Starania jej w celu uzyskania prawa głosowania dla kobiet pozostały bezskutecznemi, inny więc obrót tej kwestji nadała: wychodząc z zasady, że podatki ustanawiane być powinny przez tych, ktorzy je płacą, że kobiety nie mając udziału w rozkładzie i wydatkowaniu funduszów z podatków zebranych, przez to samo od ciężaru wnoszenia ich wolne być winny, p. Hubertyna Auclerc stanowczo odmówiła wymaganej od niej opłaty. Oto jej list napisany do swego prefekta w tym celu: „Panie Prefekcie! Otrzymałam wezwanie co do podatków moich za rok 1880. Ponieważ nie mam zamiaru uiścić ich, postanowiłam zawiadomić pana o tem, prosząc zarazem o wykreślenie mego nazwiska z listy opodatkowanych. Aż do roku bieżącego ulegałam chętnie opodatkowaniu przypuszczając, że w gminie, w departamencie, w państwie, nakładających na mnie pewną część ciężarów, posiadam także niejakie prawa. Chcąc skorzystać z praw obywatelki francuzkiej, zażądałam podczas ostatniej rewizji, by mnie zapisano do listy wyborczej; otrzymałam odpowiedź, że: „prawodawstwo przyznaje prawa jedynie mężczyznom, ale nie kobietom.“ Nie zgadzam się z tem wyłączeniem masy dziesięciu milionów kobiet, niepozbawionych swych praw cywilnych mocą żadnego wyroku. Skutkiem tego, pozostawiam mężczyznom, którzy przywłaszczają sobie przywilej rządzenia, rozkazywania, obowiązek dostarczania potrzebnego budżetu; pozostawiam mężczyznom przywilej płacenia podatków, które nakładają i rozkładają według swej woli. Nie mając prawa kontrolowania użytku, jaki się robi z moich pieniędzy, postanawiam nie dawać ich więcej. Przez uległość swoją nie chcę stawać się wspólniczką szerokiej eksploatacji, jaką autokracja męzka mniema się w prawie wywierać względem kobiet. Ponieważ nie mam praw, nie mam więc i obowiązków; ponieważ nie głosuję — nie będę płacić. Nie pierwszy to raz w imię pogwałconego prawa, pieniądz powstaje przeciw wymaganiom skarbu. Racz przyjąć Panie Prefekcie itd. itd.“

List ten przeróżnie komentowanym został przez wszystkie bez wyjątku dzienniki, nie osiągnąwszy wszakże zamierzonego celu. Na żądanie poborcy podatków, opisano ruchomości p. Hubertyny Auclerc. Wtedy odwołała się do prefektury Sekwany, oświadczając zarazem, że pragnie osobiście sprawy swojej przed Radą prefekturalną bronić. Spór ten w tych czasach t. j. 13. sierpnia był rozstrzygany. Przeciw wymownej i gruntownej obronie panny Hubertyny Auclerc, Rada prefektury jedno tylko do przeciwstawienia miała, a mianowicie, że: wymagania pany Auclerc wchodzą w zakres prawodawczy, że zatem do izby deputowanych i senatu, lecznie do prefektury Sekwany z niemi zwrócić się należy, — prefektura zaś stosując się do praw istniejących, opozycji założonej uwzględnić nie może.

W obec tej decyzji, p. H. Auclerc uległa chwilowo przemocy oraz przymusowi i dopuściła do sprzedaży opisanych swych ruchomości; powątpiewać jednak nie można, iż nie zaniecha ona nadal tej tak energicznie rozpoczętej kampanji, w celu uzyskania równości kobiet wobec prawa.

Po***

Po co mi pióro dajecie do ręki?
Dawnom je z klątwą — podeptał i złamał.
Zbyt jestem szczery, bym uczucia kłamał,
Zbyt dumny, żebym na los kwilił jęki.

Los może ciskać na mnie swe pioruny,
Głowę mi śniegiem w dni lecie ubielić,
Kraj mój odemnie morzami — oddzielić,
Lecz dumę moją poniosę do truny.

I Bóg mi świadkiem, że chodzę modłami —
Ze łzą gorącą pukać w jego nieba;
I wołam: Boże! powszedniego chleba;
Swobody synom mrącym pod knutami!

Lecz jeśli słowo jedno w mej modlitwie
Więcej słyszałeś, Ojcze Wszechwiedzący!
Wystrzel gromami do duszy bluźniącej,
I kościom moim nie daj grobu w Litwie.

Patrz, jak na niebie czarnemi się koły
Piętrzą, bałwanią piorunowe chmury,
Jak ludzkość z trwogą pogląda do góry
Milcząca jak te przed burzą żywioły.

Patrz, jak przeczucie strasznej nawalnicy
Na wszystkich czołach wyryło się piętnem;
Jak przyspieszonem biją serca tętnem,
Drżąc wyczekują pierwszej błyskawicy.

A wy mi pióro chcecie dać do ręki?
Bym, jeden pyłek w tym ludów ogromie,
Myślał o duszy mej znikomym domie,
I jakby szydząc zawodził piosenki!

Skarżyć się? dzisiaj? wierzcie mi! by prawo
Do skarg posiadać, Konarskim być trzeba;
Jak on się wkupić do współczucia krwawo,
Jak on męczeństwem dobijać się nieba!

Cóż żem wyparty jak ptaszyna z gniazda,
Że żadna w mroku mi nie świeci gwiazda,
Wszakże nie jeden w strasznej cierpię doli,
Wszakże nie jedno jak me serce boli.

Lecz jeśli chcecie w czem użyć mej duszy,
To proście Boga by mi dał grób cichy,
Niech mnie garść ziemi tej świętej przyprószy
Co mnie pierwszemi witała uśmiechy.

Niech na mym grobie kwitną dzwonki polne,
Niechaj ich stopa nie zdepce Moskala;
Niechaj mi do snu pluszcze Niemna fala,
I niech jej śpiewom wtórzą dzieci wolne!

1851. sierpień.

Karol Brzozowski.

JASKÓŁKA

NOWELLA

LEONA SAMSONOWA

(przekład z rosyjskiego).

(Dokończenie).

Słowo to dotychczas tak mi tkwi w mózgu, że pamiętam wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów. Spojrzałem na ciałko bez duszy... Na ścianie spostrzegłem plamkę jakąś... Muszę to Maszce pokazać; dlaczego taka nieporządna; przecież to jej obowiązkiem było, zetrzeć tę plamkę... I trzebaż było nie powiedzieć mi w teatrze, że umarła... Że inni nie powiedzieli, temu się nie dziwię, ale Sacharow!... nigdym się po nim tego nie spodziewał. Powinien był, powinien był powiedzieć... Cały teatr wiedział, że umarła... publiczność, artyści, orkiestra... ja jeden nie wiedziałem... i grałem! A doktor!... ten także dobry! — Tego nie rozumiem, powiadam, zwracając się do obecnych; doktor powiedział: »zróbcie dla niej kaszki», a ona umarła...

Znów nikt nic nie odpowiedział.

Umarła!... — Załamałem ręce, ale głowa zupełnie spokojna; nie czułem i nie myślałem nic. — Nie wiem com myślał. Jedna tylko myśl błysnęła: *Za co ja ją pochowam? Ani grosza przy duszy!...* Gdyby mi powiedzieli w teatrze, to wziąłbym od Kirowa, od Szmitowa nareszcie... nie odmówiliby mi przecież! Trzeba będzie wszystko przedać, wszystko!... Ale jak przedać o tak późnej porze? Zawróciłem się, wyszedłem do drugiego pokoju i siadłem na kufereczku czerwonym. Niańka ze strachu czegoś się aż żachnęła w sieni... »W kufereczku tym leżą sukienki jej, i koszulki, i płaszczyk, a jej samej już nie ma»...

— Leonie Mikołajewiczu!... — mówi do mnie pocichu N. I. Stepanowa.

— Kto tam, co takiego?... A, to pani? Przepraszam, przepraszam, żem nie uważał...

— Chciałam coś panu powiedzieć...

— Zostaw mnie pani, nie potrzebuję pociechy...

— Ależ nie to... Chciałam, widzi pan... Pan nie masz pieniędzy, a ja mam piętnaście rubli... weź pan.

Wstałem z kufereczka, wyciągnąłem rękę i wziąłem rubli piętnaście, słowa nie rzekłszy. Jaka ona poczciwa, pomyślałem tylko; jeszczem nie oddał mężowi jej tych stu rubli zaliczki, a ona pomimo tego!...

— Leonie Mikołajewiczu, zapomnieliście...

— O czem?

— O Helenie Rodionównie. Idź pan do niej, a my już tu sami zrobimy co trzeba; i ciałko obmyjemy i po trumienkę poszlemy...

— Ależ po co obmywać; ona i bez tego taka czysta, bialutka...

— Już to taki zwyczaj, prawo; należy koniecznie obmyć.

— Ale co to mówiłaś mi pani? Coś chciałaś odemnie?...

— Trzeba koniecznie przenieść Helenę Rodionównę do drugiego pokoju. Bo jak przyjdzie do przytomności i zobaczy Niunię...

— A, rozumiem; zaraz ją przeniosę.

— Przenieście i zajmijcie się nią, a ja już tutaj pozostanę na noc przy dziecku i przycupnę na sofie.

— Kijanów, pomóżcie.

— Kijanów nagiął się i chciał wziąść na ręce. Spojrzała dziko, odepchnęła, wstała, potem spojrzała na umarłą dziecinę, przypadła i poczęła pieścić i całować:

— Maleństwo ty moje, maleństwo ty moje... jedyne szczęście moje... cobym ja poczęła bez ciebie...

— Leneczko, chodźmy do drugiego pokoju, czas spać.

— A pan kto taki? — i oczy jej błysnęły ogniem złowrogim.

— Wyprowadźmy ją — szepnąłem do Kijanowa.

— Heleno Rodionówno, chodźmy do pani pokoju, musi pani odpocząć...

— Zbójcy, łotry!... Czego wy chcecie odemnie? Dajcie mi pokój... Gdzie Niunia? Puśćcie mnie!... To oni, oni; to ci aktorzy zabrali mi Niunię... Nie było za co nawet jeść dać dziecinie... Ach mam jeszcze jeden cukierek... Puśćcie mnie... Gdzie Niunia?...

Wyprowadziliśmy jakoś nareszcie z pokoju i ułożyli do łóżka. Kijanów odszedł, została tylko N. I. Stepanowa.

— Uspokój się, Leneczko! Cóż robić! Już taki los człowieka, że koniecznie musi nmrzeć... — mówi pani Stepanowa.

— Jak to umrzeć!... Kłamiesz, kłamiesz najbezczelniej!... Co ty za jedna, a pan czego chce odemnie!... Niechno tylko przyjdzie Leon Mikołajewicz, a zaraz was wszystkich za drzwi wyrzuci. Precz odemnie!...

— Pozwólcie-no tylko... — powiadam do żony — on nadejdzie... i wszystko dobrze będzie, ale tymczasem nie zapominajmy o zastrzykaniu morfiną...

— A pan kto taki?... Czy pan potrafisz?... Felczer?

— Tak, felczer jestem.

I udało się jakoś dwa ukłócia wykonać (a rozczyn morfiny był ośm gran na dwie drachmy wody).

— Ach, panie felczer, jakże mię oni pobili!... ręce w sińcach, a na głowie guzy.

— Któż to oni?

— Jacyś złodzieje... coś ukradli... ale co oni ukradli? — i zamyśliła się głęboko. — Oni coś z pewnością ukradli — zaczyna po chwili — tak ukradli... Powiem mężowi; on z policmajstrem zna się i policja na pewno odszuka... ale co oni ukradli?...

— Uspokój się pani, dowiemy się jutro.

— I dziwna rzecz, ci ludzie!... Okradli mnie, w dodatku pobili, a jeszcze słyszę, że powiadają, iż należy mnie oddać do domu warjatów!... Cha, cha, cha, cha!... A, pani tutaj — zwraca się do Natalji Iwanownej. — Bardzo proszę, bardzo proszę... Siostra miłosierdzia... Siadajcie, siadajcie!...

Potem poczęła usypiać, i usnęła nareszcie. Natalja Iwanówna dała znak ręką, i oboje wyszliśmy na palcach z pokoju.

Wyszliśmy...

Na łóżku leżało przewrócone na brzuszek ciałko mojej drogiej dzieweczki, a niańka kończyła jej plecy obmywać...

— Niania, pamiętaj tylko, ażeby koszulina — rozumiesz — koszulina była czysta...

— A na piersiach — dodałem — krzyżyk zawiesisz... ten sam co nosiła... na różowej wstążeczce... Co pani sobie życzy — powiadam do Nadjeżdy Iwanównej.

— Ja nic nie życzę, Leonie Mikołajewiczu, nic nie mówiłam.

— Aha! wiem już co. Trzeba jeszcze trzewiczków.

I pobiegłem do miejsca, gdzie stoi kufereczek czerwony, a tuż obok ustawionych dwie pary malutkich trzewiczków.

— Boże mój! — jęknąłem. — Podarte! Cóż teraz poczę, gdzie kupić po nocy?!...

— To nic, Leonie Mikołajewiczu; można i w pończoszkach, byle czyste były...

We drzwiach stali Cukierek, Sawuczka (Sawin) i Kijanów.

— No, moi panowie!... nie ma co mówić!... A ty tu po co? — pytam stolarza teatralnego, co po za kolegami stał.

— Wziąść miarę na trumienkę.

— Na trumienkę?... Aha, rozumiem. Bierz. Panowie, proszę siadać.

Byłem najzupełniej przytomny. Powiadam:

— Wiecie panowie, że żona moja nic nie pojmuje. Mniema, iż jest w domu obłąkanych; mnie wzięła za felczera, a Nadieżdę Mikołajównę, za siostrę miłosierdzia... Dziwna rzecz, doprawdy! Kijanów, wiesz co: widać ją za silnie za ręce ścisnąłeś.

— Ot, jaka rzecz teraz! — począł Sacharow. Nie ma innej rady... bo rozumiecie? co się stało, nie odstanie — nie ma innej rady, jak tylko co najprędzej z przed oczu usunąć martwą Niunieczkę...

Sawuszka i Kijanów potaknęli głową.

— Jak to co najprędzej?! Ależ żona zechce koniecznie pożegnać się z nią! Wiem co zrobię; pojadę jutro do doktora... nie do tego, co to wiesz, mówił ażebym kaszkę gotował, a ona tymczasem umarła, ale do innego... i spytam się, czy może żona bez niebezpieczeństwa dla siebie pocałować trupa?

— Ależ wszyscy oni równi. Co tam ich pytać, gdy wszystko się skończyło, a wiadomą jest rzeczą, że okropny widok może wzmódz boleść Heleny Rodionówny, a wtedy...

Stolarz wziął miarkę i wychodzi:

— Jutro o siódmej przyniosę trumienkę; wiele lat miała panienka? — pyta smutnie.

— Półczwarta roku.

— A wyciągnęła się tak, jakby siedm miała...

Westchnął i odszedł.

— Ależ powiedzcie mi, — zwracam się do kolegów — jak się to wszystko stało?!

— Zaledwieście wyszli powtórnie na scenę — rzecze Sacharow — wtem po raz drugi przybiegła zdyszana Masza. Panienka, powiada, umarła; prosiła, abym wzięła ją na ręce, wzięłam — a ona położyła tylko główkę na moje ramię, drgnęła dwa razy, zatoczyła oczami i po wszystkiem!... Zaraz kazałem wracać Maszy do domu, a sam pobiegłem do Natalji Iwanównej, aby was przygotowała, a później sam począłem namawiać, byście do domu wracali. Cały teatr wiedział już, że umarła... Natalja Iwanówna z Kijanowym natychmiast wzięli fiakra i popędzili do Heleny Rodionównej. Zadrżała... dwa razy zatoczyła oczyma.

— A jakże Leneczka dowiedziała się o jej zgonie? Czy była przy niej?

— Nie; służąca nic jej nie powiedziała, tylko wprost do was do teatru pobiegła. Gdy Natalja Iwanówna z Kijanowym przyjechała, i weszli do sieni, Helena Rodionówna, będąca pod ten czas w drugim pokoju, usłyszawszy szmer jakiś, wstaje i myśląc zapewne, że to służąca w sieniach, woła półgłosem: Ciszej tam, jeszcze dziecko przebudzicie... Wszedłszy do pokoju, gdzie Niunia była, i postrzegłszy Natalję Iwanównę z Kijanowem, mówi: A, to pani, to pan; co tak późno?...

— Helenko, droga moja — powiada Natalja Iwanówna — wszystko się przytrafia na świecie; trzeba męztwa, trzeba poddania się woli Bożej. Ja sama naprzykład, czyż małom strat poniosła?...

Nie była w stanie dokończyć, łzy przerwały jej mowę.

— Co to jest? nie rozumiem — woła zdumiona Helena Rodionówna i podeszła do łóżeczka Niuni.

Wtem doktor przyjechał i wszedł do pokoju.

— Witam pana; Niunia spi, wszystko dobrze; czyż nie prawda, że dobrze iż spi?

Doktor podszedł do łóżeczka popatrzał, poruszał i rzecze:

— Pani, czegośmy się obawiali od pierwszego razu, to się stało!... — Jakto?... — Córka pani umarła!

— Umar...?! Co pan kłamiesz, jak śmiesz pan tak podle kłamać! To być nie może!... — i rzuciła się do łóżeczka, schwyciła na ręce dziecko; dziecku główka na dół opadła!...

— Doktorze, ty... patrzaj co to jest!... Ona śpi... Ratuj, przecież ty doktor, ty na to uczony!... Co to jest, doktorze!... — i całuje skrzepłe już usteczka dziecka, łapie za główkę zwieszoną.

Doktor za kapelusz, i chciał odejść.

Helena Rodionowna cisnęła trup dziecka na pościel, padła na kolana i poczęła całować nogi doktora: — Ratuj, ratuj! o ja nieszczęśliwa, co to jest?!...

Doktor ukłonił się i wyszedł.

— Ach!... jęknęła rozdzierającym głosem i padła bez zmysłów.

— Podłożyliśmy pod nią poduszki, bo podjąć się z ziemi nie dała, kończył Sacharów, i wtedy toście wrócili do domu.

— Leonie Mikołajewiczu — powiada półgłosem Natalja Iwanówna, podchodząc na palcach. Jak na teraz, ubraliśmy ją tylko w koszulinę; bo sukienki tak krótkie, że należy rąbki rozpuścić. Jadę do domu, zabieram z sobą sukienkę; zrobię co trzeba, córka moja dopomoże mi, wyprasujemy i jutro o 6-tej zrana przywiozę wszystko w porządku.

Odjechała. Wstałem i na palcach poszedłem do pokoiku gdzie ona leżała. Kijanów i Sacharów za mną. Na łożu prześcieradłem zasłanym, jak śnieg białem, leżała pokryta muślinem. Podszedłem i odrzuciłem muślin, jak to kiedyś w Kijowie... Blask lampki przed obrazem padał wprost na jej twarzyczkę... Milczeliśmy. Jakby żywa... — szepnął Sacharow. — Tak, jakby żywa... ale zanadto coś blada!... Przeżegnaliśmy. Zdjąłem ciżemki i na palcach wszedłem do pokoju żony zobaczyć co się z nią dzieje. Spi.

Kazałem Maszy położyć się pod drzwiami pokoju żony i mówię:

— Jeżelibyś co usłyszała, daj nam zaraz znać.

Mówiłem nam, albowiem Sacharów został ze mną na noc. Kijanów i Sawuszka, poszli do domu.

Przyszedł służący Sacharowa dowiedzieć się gdzie się pan obraca; Sacharów posłał po kwartę wódki. Piliśmy. Przez całą noc nie więcej, jak dziesięć słów przemówiwszy. Nie wesołe picie. Nie wesołe.

— Tak, nie wesołe — powtórzył cukiereczek Niuni. Zdaje mi się, że teraz należy już tylko Helenę Rodionównę ratować — dodał nareszcie.

— Tak, Helenę Rodionównę należy ratować. A pamiętasz jak król Lear wołał: »Krzycz, co sił starczy! Wal, lej, rycz i grzmij!«

— Pamiętam... »powieszono maleństwo moje!«

Tyle było rozmowy naszej, kwarta się skończyła.

W kwadrans po szóstej przyjechała Natalja Iwanówna i przywiozła sukienkę; a w godzinę potem, zjawił się i stolarz z trumienką...

— Natalio Iwanówno, powiadam, ja muszę do doktora, a wy tu z łaski swojej zostańcie. Na wszelki przypadek zostanie z wami Sacharow.

— Leonie Mikołajewiczu — trwożnie rzekł kolos—a jeśli się co przytrafi?... Niech lepiej i Kijanów będzie.

Kijanow mieszkał wtym-że samym co i my domu, tylko w oficynie. Pobiegła niańka i Kijanów wnet przyszedł.

Jestem u doktora, powiadam co trzeba.

— Według mego zdania, lepiejby było, gdyby się pożegnała z dzieckiem. Zajedziemy do apteki, weźmiemy eteru, kropel Hofmana! — rzecze doktor.

Ażeby zaś wrażenie nie było tak silnem, doktor radził pokazać Niunię nie w trumience, ale na łóżku leżącą.

— Co, czy nie przebudzała się w czasie nieobecności mojej, czy ciągle spi? — pytam Natalji Mikołajewny, powróciwszy z doktorem. — Ze dwa razy stęknęła tylko, a potem usnęła.

Wszedłem po cichutku do pokoju żony, doktor został przy trupie.

— A to pan, panie felczer?!... Co tu się dzieje? Coś, coś... cała jestem jak zbita. Doprawdy dziwnie...

— Zaraz będzie lepiej i wziąłem sikaweckę i dwa razy zapuściłem morfinę. Przestała stękać.

— Leneczko! — wołam.

Spojrzała na mnie, patrzy i milczy. Oczy jej świecą jakby ogniem błękitnym.

— Leneczko moja, moja ty Leneczko droga... Wypada, ażebyś się pożegnała z nią... Niunia nasza już w gronie aniołków... już szczęśliwa na zawsze...

Oczy jej zadrgały, jakby coś pojęła, a potem wnet:

— Kłamiesz! ona spi, spi... Nie budźcie jej tylko, pst!...

— Wstań — moja ty droga; oprzyj się na mnie i pójdziemy...

— Jak pan śmiesz mówić do mnie ty?... Precz!...

— Przepraszam panią, omyliłem się...

Kijanów pośpieszył i wzięliśmy ją pod ręce z stron obu.

— Za co wy tak męczycie mnie!...

Wprowadziliśmy ją nareszcie do pokoju, gdzie leżał trup Niuni i dech zamarł w nas wszystkich, nie wyłączając lekarza. Zaledwie weszła, pierwsze jej spójrzenie padło tam gdzie było dziecko. Długo spoglądała z pod oka, wzrokiem surowym, nareszcie podeszła powoli i siadła na łóżeczku. Schyliła się ostrożnie, ostrożnie... i ostrożnie pocałowała w czoło dziecinę swoją...

— Co to jest! — krzyknęła — zrywając się raptem. Zimna, umarła!... O maleństwo ty moje, o droga ty moja! Cha, cha, cha, cha!... Nie bój się niczego, to tylko żart, zaraz będziesz mieć kaszkę, dostanę ci ja i pieniędzy, i mleczka dla ciebie, o maleństwo ty moje!... Ależ spójrz na mnie! Czy się gniewasz na mamę, o drogie dziecie ty moje...

I wzięła w obie dłonie główkę, podniosła nieco i długo, długo wpatrywała się w twarzyczkę drogiego dziecięcia swojego... Potem zaczęła trząść główką, jak by chcąc ze snu obudzić. Niuniu, Niunieczko!... — i porwawszy trupka na ręce, rzuciła się do drzwi, chcąc na ulicę uciekać.

Było nas czterech: ja, Sacharów, doktor i Kijanów; i zaledwie nam czterem udało się ją zatrzymać i wydrzeć z rąk jej martwe ciało dziecka.

Natalja Iwanówna zemdlała.

Zwraca się doktor do mnie: — Panie Samsonow, — wybaczcie; odchodzę, mam czworo dzieci... i odszedł.

Porwaliśmy we trzech Leneczkę i na powietrzu zaniósłszy do jej pokoju, ułożyliśmy do łóżka. Koledzy potrzymali, i chociaż o małom co nie złamał igły, udało mi się dwa ukłócia zrobić. Uspokoiła się nieco, tylko raz wraz tarła sobie czoło, jakby chcąc myśli zebrać i coś przypomnieć, a nareszcie usnęła.

Gdym wrócił od żony, Niunieczka moja była już w trumience, a tu noski trzewiczków podarte, trzewiczki stare...

— Czy już można przykryć? — Przykryjcie i wieko wnet zakryło ją na wieki.

Poszedłem z Sacharowym chować, a Natalja Iwanówna z Kijanowym przy Leneczce.

Gdy wynoszono trumienkę, niańka poczęła na głos szlochać. — Ani mi się waż! — krzyknąłem, zatykając dłonią jej usta.

Po cichu wniesiono ją na świat, i również po cichu wynoszono ze świata.

Siadłem do doróżki z Sacharowem i Sawuszką, postawiliśmy trumienkę na kolanach, zdjęliśmy kapelusze i powieźliśmy powoli Niunieczkę naszą do jej ostatniego łóżeczka.

Słyszałem, jak przy najlżejszem chybnięciu, główka jej tłukła się o ściany trumienki. »Widać, że trumienka za szeroka,« myślałem w duchu.

Przechodnie zdejmowali czapki i kładli znak krzyża na piersiach. »Bóg zapłać, Bóg zapłać.« Szedł żołnierz z karabinem, stanął, zprezentował broń. »Bóg zapłać, Bóg zapłać.« Mamo, mamo, żołnierzyki!... przypomniałem sobie, jak klaskała z radości.

Zakopaliśmy ją podczas lipcowego słońca w całym blasku! Skowronki wciąż dźwięczały wysoko, zbiegły się dzieci stróżów cmentarnych, grabarz, kilku dziadów i więcej nikt. Sacharow z Sawuszką, jak bobry płakali. A ja, spoglądając na mogiłę tuż obok, myślałem dla czego Niunia nie ma mieć krzyża? Ale co się działo w piersi mojej!...

Ani jednej łzy nie uroniłem! A tu dokoła zieloność jak najbujniejsza, niezgłębiony błękit niebios, wianek na krzyżu, kwiaty wszędzie i kwiaty, dzieci... dużo dzieci.

A ja nie mam już dziecka!!!.

Konsilium znakomitości kiszeniewskich zadecydowało: »Pani Samsonowa cierpi na obłąkanie łagodne umysłu; rzeczy pozostałe po dziecku pochować, a ją samą wywieźć na wieś, lub do Wiednia...

Pochowałem do czerwonego kufereczka wszystkie pozostałe po niej rzeczy. Karł Karłycz przez caluteńkie dni cztery ani wylazł z pod kanapy. Jak on mógł tam wytrzymać, nie jedząc ani pijąc? — doprawdy sam nie wiem.

We dwanaście dni po pochowaniu dziecka, ja, Sacharow i Kijanow siedzieliśmy w pokoju, gdzie stał kufereczek czerwony. Wtem usłyszeliśmy stuk pantofli. Rzuciłem się do drzwi, a ona już we drzwiach...

Stoi, warkocz rozpuszczony, włosy w nieładzie - i zawiązuje spodnicę.

— Co to takiego? Proszę pana felczera, tylko co widziałam przez okno jak wszyscy spacerują... Cóż to, ja gorsza od innych? Pójdę i ja na spacer. Panie felczer, pozwólcie...

— Pani jesteś jeszcze tak słaba... jutro z pewnością doktor pozwoli.

Cofnęła się, i smutna siadła na łóżko.

— No, ale po pokojach? Może można? — W pokoju można, odpowiadam, głos umyślnie podnosząc dla ostrzeżenia ażeby byli gotowi.

Trzęsła się na całem ciele, i tak była osłabiona, że zaledwie ustać mogła. Wziąłem ją pod rękę i wprowadziłem do pokoju... weszła, stanęła, popatrzała na komodę, na okno, potem na stolik, a nareszcie zwolna zwróciła twarz w tę stronę, gdzie niedyś stało *łóżeczko*. Kijanów wnet podbiegł i stanął koło mnie, gotów do pomocy. Sacharowi aż się słabo zrobiło; nie mógł wytrzymać podobnego widoku, i ażeby nie zemdleć, wyszedł czemprędzej do sieni. Długo tak stała w milczeniu spoglądając na wszystkie strony, jakby coś przypominala sobie, nareszcie wzrok jej padł i zatrzymał się na kufereczku czerwonym. Zadrżała i cała się trzęsąc i potykając jak jaka staruszka o kiju, rzuciła się na kufereczek, i odkryła wieko... Na samym wierzchu leżał letni płaszczyk, w którym Niunia po raz ostatni chodziła z nią za miasto...

— Znalazłam, znalazłam! — krzyknęła i łkając padła na kolana, trzymając płaszczyk w ręku. — Ha, ha, to wy *ją* aż tutaj schowali! — i poczęła czemprędzej wyrzucać z kufereczka sukienki, zabawki, koszulki, słowem wszystko, a oczy jej chciwie aż do dna świdrowały.

— Nie ma jej, nie ma! — krzyknęła i potoczyła się na ziemię.

Tu już nie byłem wstanie wytrzymać. Ryknąłem i łzy puściły mi się strumieniem... Leneczka odzyskała przytomność.

Dziś, o dwa tysiące wiorst od nas, na kiszeniewskim cmentarzu stoi malutki krzyżyk drewniany na nie wielkiej mogiłce i stoi pod drzewem, a słońce i księżyc, mróz i nawalnica, kolejno po nad nim przechodzą. Spij, spij spokojnie, dziecino ty droga! Chcieliśmy ci jaki pomniczek wystawić; ale cóż począć, kiedy pieniędzy nie mamy!... A zresztą tato twój zmuszony jest twoją mamę ratować i ty nam przebaczysz...

Niechże przynajmniej krótka ta historja starczy ci za pomnik, drogie ty maleństwo nasze, a dla pana w bobrach, co cię na mróz wyrzucił, niech będzie — *policzkiem*.

KONIEC.

KORESPONDENCJE.

Wiedeń we wrześniu 1880.

Wiedeń się ożywia. Z kąpieli, z mieszkań letnich, z Döbling, Dornbach, Simmering, Pentzing, Hietzing, wracają zamożniejsi Wiedeńczycy do swego ulubionego miasta; roje guwernantek zapełniają park, a na Praterze tłum najróżnorodniejszy snuje się pomimo opadających liści, blizką zwiastujących jesień i chłodnych długich wieczorów, choć dnie mamy jeszcze piękne i ciepłe; opera wreszcie cieszy się powodzeniem rzadkiem, z powodu napływu obcych, co przybyli oglądać tutejszą przemysłową wystawę i tęsknoty Wiedeńczyków za ulubioną muzyką, którzy zaraz po powrocie, pospieszyli tłumnie na pierwsze przedstawienia otworzonego w sierpniu teatru.

Proletarjat wszakże, do którego tutejsze gazety odzywają się z grzmiącemi filipikami, iż nie potrzebuje nic więcej do życia jak tylko *panem et circenses*, który na to może i zasługuje ustawiając się w ćwierćmilowym szpalerze, aby w niezrównanej swej cierpliwości czekać trzy godziny na suknię przejeżdżającej w powozie damy dworskiej, tłum, który pomimo ogólnego wykształcenia daje się wyzyskiwać kilku demagogom żądnym orderów i uświetnia przeróżne festyny, masy te nie uczęszczają nigdy na operę i po większej części nawet jej nie znają. Jeżeli zatem kasa teatralna wykazuje dochód 30.141 złr. za drugą połowę sierpnia, to dochód ten zawdzięcza po największej części powracającym ze wsi Wiedeńczykom, co spowodowało nawet jeneralną intendanturę opery, iż postanowiła od roku przyszłego dawać przedstawienia i w miesiącu sierpniu, a ferje ograniczyć jedynie na drugą połowę czerwca. W ogóle

nowy dyrektor baron Dingelstedt wespół z baronem Hofmannem obmyślają środki, ażeby koniecznie pokryć sumę 700.000 złr., jaką corocznie opera wydaje. Między innemi zamierzają teatru wcale nie zamykać, jak to bywało dotychczas dwa razy w tygodniu, a przedstawienia dawać codziennie, począwszy od pierwszego września, aż do piętnastego czerwca. Z pierwszym lipca, kiedy Burgteater zamykają, w operze rozpoczną się na nowo przedstawienia, a w miesiącu tym szczególnie będzie uwzględnionym balet. W sierpniu nastąpi cykl klasycznych arcydzieł niemieckich kompozytorów, a potem gdzieś w którymś miesiącu między majem a wrześniem, będą grane opery włoskie i inne. W celu umożliwienia wstępu dla jak największej liczby publiczności, dyrekcja postarać się ma o śpiewaczki utalentowane wprawdzie, ale nie mające jeszcze pretensji do gaż, które pociągają za sobą ceny nadzwyczaj wygórowane.

Nie będą więc tu występowały: Nilsson, Alboni, Masini, Patti, ale tylko Tamagno, Bottero, Bueterini, Biancholini i o ile możliwem będzie budzące się dopiero nowe wielkie talenta. Ze sztuk, które w tym roku na nowo wyjdą na scenę, wymieniają już teraz „Rigoletto“, „Medea“, „Jessonda“ „Ferdinand Cortez“ i jako *nouveauté* „Bianka“ Brühla.

Z obcych śpiewaków mają u nas gościć tenor Winkelmann, barytoniści Krückl z Hamburga, Reichmann z Monachium, Schelper z Lipska, wszyscy ubiegając się o opróżnione miejsce po słynnym barytoniście Becku, co się zupełnie ze sceny usunął.

Tyle o tutejszej operze. Zobaczymy czy publiczność, o której powiedział Laube, że przy niej dwa poważne teatra jak Stadt i Burgtheater istnieć nie mogą, zada kłam słowom słynnego dramaturga, z oburzeniem przyjętym przez tutejszych fejletonistów i uwieńczy usiłowania Dingelstedta dyrektora Burg- i Hofoperntheatru, równie jak i czynność energiczną pana Bukowicza, co Stadteater wynajął i od kilku miesięcy krząta się około łowienia nowości dramatycznych i przeglądania starych repertoarów, czy się coś nie da na nowo na scenę wprowadzić. W każdym razie nowi dyrektorowie będą się starali o przychylność publiczności i będą ją rozrywać wszelkimi sposobami. Mamy więc przed sobą interesujący sezon teatralny.

Sensację powszechną obudziło w Wiedniu odkrycie, iż belki żelazne używane do budowy tutejszego ratusza, a pochodzące z tutejszej słynnej fabryki i ważone w obec inżyniera miejskiego i urzędnika kierującego budową, architekta Schmidta, o cztery procent lżejszemi są jak podano i jak wskutek tego za nie płacono. Kilka na wpół tylko wmurowanych belek wyjęto i wszędzie skonstatowano ten sam ubytek wagi. Przy tych kilku dotychczas zważonych belkach, strata, jaką gmina poniosła wynosi 1000 złr. a jeśli weźmiemy na uwagę całe setki wmurowanych żelaziw, które nie mogą już być ważone, chyba gdyby ratusz rozebrano, to wynika ztąd szkoda olbrzymia! Fabrykant klnie się, iż nic o fałszywej wadze nie wiedział, ciekawem więc będzie jak plenum rady gminnej tę sprawę rozstrzygnie.

Na zakończenie kilka słów o urządzonej tu wystawie przemysłowej.

Trudno zdać sobie sprawę wstępując w te olbrzymie przestrzenie, zapełnione najróżnorodniejszemi wyrobami ludzkiej sztuki i pracy. Przy każdym wyrobie wszelkie jego gałęzie, częstokroć w chronologicznym od najdawniejszych lat szeregu uporządkowane, tak są liczne, że choć uwidoczniają nam historją rozwoju całej fabrykacji, to trudno jednak, powtarzamy, zdać sobie sprawę z tego co się widzi. Tyle tu wrażeń, iż jedno drugie zaciera. To pyszne szkła i malowidła na nich, gdzie przemysł i sztuka podały sobie rękę, by się na piękną złożyć całość, to w fantastycznie ugrupowanej dekoracjami wiosce chleb, wino i mąka a w ledwo że nie chłodnej, tak żywo naszą wyobraźnię zajmującej piwnicy piwo — tam znowu wystawione są zdobycze austrjackiego górnictwa, które rocznie krajowi przeszło 70 miljonów przynosi, choć skromny to dział bardzo i mało co w oczy wpada; tu preparata chemiczne i ultramaryny z fabryki Setzera w Melk w najmożliwszych odcieniach i we wszystkich fazach, jakie ich fabrykacja przechodzi; mydła i perfumy w ilości, którą i objąć trudno z fabryki Sarga szczególniej; preparata z wosku ziemnego dobywanego w Borysławiu, z fabryki Ujhelego et Comp. w Stockerau, od żółtego, dorównywającego prawie kolorem i postacią woskowi pszczelnemu, aż do prawdziwie pięknych białych świec, z kwiatami, opasującemi je wężykowatym wiankiem; owo znowu blachy i wyroby ołowiane Winiwartera z Gumpoldskirchen, blachy długości trzech metrów i rury ołowiane bez końca prawie, które jako osłona drutów telegraficznych i ochrona przed wilgocią w Niemczech już bardzo ważne oddają usługi; z drugiej strony ciekawa kollekcja Neubera najrozmaitszych produktów chemicznych otrzymanych z odpadków innych fabrykacji jako to: Chlorek cynku, witrjol żelazny, wódka francuska, octy najrozmaitszego rodzaju i t. d. i t. d. i t. d.... Naraz zwraca naszą uwagę dział poświęcony odzieży. Nie tyle krawiectwo, po którego wystawie niktby się nie domyślił, że we Wiedniu samym półczwarta tysiąca majstrów zatrudnia a przeszło 20.000 czeladników i że wyroby tej gałęzi przemysłu odbywając dalekie drogi na wschód, przynoszą krajowi 10 milionów złr. czystego rocznego dochodu, ale wystawa obuwia tak nas zajęła swoimi maszynami i aparatami. Są tu zabytki historyczne sięgające XI wieku a nadewszystko obuwie przystosowane na chore i rozmaitym ułomnościom podlegające nogi, ba nawet tak dalece idące wślad za wiedzą i medycyną w szczególności, iż choroby nóg leczy! Zasłużonym więc jest eksport obuwia Austrji wynoszący 4 i pół miliona złr. W ogóle wystawa przedstawia się znakomicie, tak że oglądając ją przychodzi na myśl, iż wkrótce Austrja miano państwa rolniczego zamieni na „państwo handlowe.“

H. M.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Julian Kołaczkowski: «Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce.« Lwów 1880. Nakładem autora. str. 16.

Broszurka ta jest przedrukiem z sierpniowego zeszytu „Przewodnika naukowego i literackiego“, a jakkolwiek mała objętością, ze wszech miar zasługuje na zarejestrowanie w przeglądzie literackim, gdyż porusza przedmiot, leżący dotąd odłogiem w piśmiennictwie naszem. P. Kołaczkowski już po raz drugi występuje z rzeczą, której przed nim nikt nie obrobił. Pierwszy raz w swoim „Słowniku rytowników polskich“ dał nam wiadomość o rytownikach polskich lub też w Polsce zatrudnionych, zestawioną nader sumiennie, pracowicie i w sposób, który świadczył, że z przedmiotem obrabianym autor jest gruntownie obznajomiony; dziś znów zestawia nam fabryki jakie istniały w dawnej Rzeczypospolitej. Kto choć raz spróbował zbierać wiadomości do stanu handlu, przemysłu lub sztuki w Polsce odnoszące się, ten wie, z jakiemi to zbieranie połączone jest trudnościami; ile czasem starych szpargałów przerzucić trzeba, nim się wyszuka treść na jeden wiersz druku. Nie jeden zobaczywszy broszurkę tak małej objętości, jak powyższa, powie: A to się wysadził!... Ale proszę siąść do pisania takiej samej broszurki, a zaraz zobaczymy bohatera. Co do mnie, zawsze z wysokim szacunkiem patrzę na takie prace, jak obecna p. Kołaczkowskiego, bo ją uważam za pierwszy krok w danym kierunku, za wskazówkę do dalszych badań, podjętych w następstwie przez ludzi, którzy większemi będą rozporządzali źródłami. W swej pracy ostrzega autor, że nie zamierzył dać pełnego obrazu ruchu fabrycznego w Polsce — bo to dziś niemożebne — ale chciał tylko zwrócić uwagę badaczy na ten przedmiot i zachęcić do poszukiwań. Moglibyśmy w kilku miejscach uzupełnić wiadomości podane przez autora i wytknąć mu niedostatki, ale nie robimy tego, bo mógł nie mieć pod ręką tych źródeł i środków, jakiemi piszący rozporządza, a zresztą sam uprzedza zarzuty, nie roszcząc pretensji do dokładności. Za zasługę poczytujemy panu Kołaczkowskiemu napisanie tej „Wiadomości“ — a poznawszy z prac dotychczasowych jego skrzętność w zbieraniu dat historycznych, do dziejów sztuki i przemysłu w Polsce odnoszących się; jego sumienność i pracowitość, oraz gruntowną znajomość przedmiotu obrabianego, prosimy go, by obranej drogi nie opuszczał i bez oglądania się na drugich, sam zajął się zbieraniem dalszych wiadomości o fabrykach i dał nam kiedyś pełniejszy, obszerniejszy obraz ruchu przemysłowego w Polsce. Przysłowie mówi, że chcącemu nic trudnego... Prosimy o tem pamiętać...

W. J. Wdowiszewski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jesteśmy w położeniu tej poczciwej gospodyni domu, która pożegnawszy ostatniego gościa przy drzwiach, wchodzi do salonu i teraz dopiero zdziwiona jest chaosem, jaki tam panuje. Prawda, pomyśli sobie, że dosyć się napracowałam, że przyjęcie kosztowało tyle, że nóg nie czuję od biegania, ale przynajmniej cieszy mię, że goście moi bawili się dobrze.

Otóż i my Lwowianie pragnęlibyśmy, żeby monarcha i ci, którzy z nim lub dla niego przybyli, potwierdzili tę opinią gospodyni domu — bo wtedy zapomnialoby się o trudach i kosztach i praca przywrócenia porządku domowego nie wydałaby się ciężką. Pochlebiamy sobie, że tak jest i że do gościnności naszej przykładaną będzie skala dobrych i szczerych chęci, a nie tego jak tam gdzieindziej bywa. — Piszemy te słowa powodując się sumiennością kronikarską, bo

gdybyśmy chcieli spojrzeć po za siebie oczami Polaka, a przedewszystkiem prawdziwego Lwowianina, to podobno jak Galicja Galicja i Lwów Lwowem, nikt wspanialszego przyjęcia nikomu nie przygotował, nikt tak swojego monarchę nie ugościł, jak my przez te kilka dni jego pobytu we Lwowie.

Wobec wyczerpujących sprawozdań codziennych pism urzędowych i nieurzędowych o tych wszystkich uroczystościach, festynach, przemówieniach i odpowiedziach, wobec zużycia wszelkich przymiotników, jakie dzisiejszy i stary język posiada na wyrażenie swego zachwytu — jesteśmy w położeniu Ezopa na targu, który nic nie umie, bo wszystkie mądrości i nauki współniewolnicy mu zabrali. Dlatego nie pokusimy się na oprowadzanie czytelników naszych w ślad za powozem cesarskim, raz dlatego, że nie mieliśmy ani niebieskiej kokardy na piersiach, ani biletu wstępu do wszystkich miejsc zamkniętych, a wreszcie chcemy zachować jaki taki zapas wyrażeń na dalsze kroniki tygodniowe.

Powiemy tedy, że udekorowanie miasta było malownicze, choć nie bardzo harmonijne; znać tu brak jednolitej dyspozycji, zwyczajnie czem chata bogata tem rada, powywieszała bowiem i dywaniki z pod łóżek hotelowych, i sukna z podłóg, i ścigających się jeleni, i papierowe chorągiewki, i prymitywnie malowane przezrocza, słowem co kto miał i uważał za najkosztowniejsze i za najlepsze, to powyciągał na zewnątrz. Cesarz od samego dworca kolei przejechał wśród ciągnącego się przynajmniej na cztery kilometry szpaleru świątecznie przybranych mieszkańców, witany okrzykami, a za nim w pysznych powozach, dorożkach i jednokonnych dryndulkach ciągnęła strojnie, buńczucznie przybrana szlachta mości panie z karabelami, ten tego, podkręcając wąsa, machając wylotami i opierając ręce na kolanach, jak to do polskiego stroju przystoi.

Porządek przy takich masach tłoczącego się ludu, a szczególniej żydostwa, bo to był dzień sobotni — trzeba przyznać — panował wzorowy. Nigdzie żadnego przypadku, żadnego przejechania, i to dzięki obywatelskiej straży, która sumiennie i z gorliwością spełniła swój obowiązek. Po nad wszystkimi imponował naczelnik tej straży, wciąż stojący w powozie, z wspaniałą amarantowo niebieską szarfą, przewiązaną przez ramię, a który wszędzie poprzedzał pojazd cesarski.

Illuminacja miasta naturalnie, że wypadła świetnie, ratusz, gmach sejmowy i bank hypoteczny gorzały od ognia, a sypiące się z kopca Unii rakiety, otoczone płonącemi beczkami nafty dominowały nad tą łuną zalegającą dolinę Lwowa. Pan Aleksandrowicz iluminując ogród i kopiec Unji pokazał, że rozumie się na takich rzeczach i potrafi wywołać efekt wśród rywalizujących z nim oświetleń domów prywatnych. Jedna tylko myśl smutna przytem wszystkiem nasunęła się nam w owej chwili, że te wszystkie miliony może świec stearynowych sprowadzono aż z Wiednia, bo pięciomilionowa Galicja, kraj podług niektórych sprawozdań płynący mlekiem i miodem, nie ma ani jednej fabryki *świec* — niestety nie ma! — Ale gdybyż to chodziło tylko o świece. Wszystkie te perkaliki użyte na chorągwie, nawet papierowe latarnie do fakelcugu, podobno i gliniane lichtarze także przyszły z zagranicy. Kupcy tutejsi żalą się bardzo, że niewiele kupowano tu strojów i materji, panowie i panie nasze na tym punkcie nie mogą się pochwalić dziecinnym patrjotyzmem do którego nawołujemy. Sprowadzają zkąd mogą, byle swoim jak najmniej dać zarobku, z czego wypływa wniosek, że zasady ekonomji politycznej bardzo mało są u nas rozpowszechnione, mimo to, że mamy dwie katedry tego przedmiotu na uniwersytetach naszych, tak świetnie reprezentowane, że jednego z profesosów, aż powołano na ministra.

Dla patrjotyzmu narodowego, szanowni panowie i panie, za mało mieć polską akademję umiejętności, mówić po polsku i mieć polską czapkę futrzaną z piórem. Zdaje nam się niby nie zaszkodziło włożyć jeszcze do kieszeni i serca trochę patrjotyzmu, czuć nieco więcej solidarności z pracującym narodem, choćby nawet ta próżność trochę więcej kosztowała, i nie była tak świetną jak sprowadzona z Paryża lub z Wiednia.

Bal w ratuszu udał się bardzo dobrze, dekoracje sal i tronu odznaczały się estetycznym smakiem, bez tych błyszczących ozdób i pstrokacizny właściwej spanoszonym dorobkiewiczom. Powiadają ci co wracali po północy, że wina były wyborne i łosoś kapitalny a stroje pań mogły iść w zawody z najbogatszemi strojami zbytnic paryzkich... I mówić tu komuś o biedzie, o krytycznej pozycji majątkowej obywateli ziemskich! — Udajecie, udajecie— mówił do nas jeden z korespondentów pism zagranicznych, gdzież można widzieć tyle brylantów, aksamitów, złota, srebra i innych kosztownych materji jak na waszej szlachcie...

Za to nie możemy się pochwalić galowem przedstawieniem teatralnem, które składało się z opery Moniuszki „Straszny dwór," tańców huculskich, oraz pośmiertnej komedji Aleksandra hr. Fredry „Pan Benet." Nic w tem wszakże dziwnego. Ktokolwiek widział kiedy podobne galowe widowiska w wielkich stolicach, ten może mieć wyobrażenie ile to parada taka kosztuje. Nie mogło więc przedstawienie nasze wypaść świetnie — po prostu nie stać nas było na to. Zresztą nie mając w miejscu stałej opery i baletu, nie podobna nawet myśleć o świetności.

Na ostatni dzień uroczystości przypadło *Corso,* czyli przejażdżka na Górę Zamkową, oraz bal szlachecki. Przejażdżce przeszkadzał nieco deszczyk drobny, pomimo to widzieć było można wiele prawdziwie pięknych zaprzęgów.

Oczywiście, że bal szlachęcki musiał się udać, bo szlachcie naszej teraz wszystko się udaje — prócz niepłacenia długów i podatków; dla tego wypadałoby pomyśleć teraz o zmianie tej niegodziwej procedury wekslowej i rozpędzeniu wszystkich sekwestratorów, aby nam więcej nie dokuczali.

* * *

Znów mamy w tym tygodniu nowy zapis dobroczynny, ale to już miljonowy. Książę Aleksander Lubomirski mieszkający w Paryżu, ofiarował dla Galicji dwa miliony franków, powierzając dyspozycję takowych hr. Ludwikowi Wodzickiemu, hr. Arturowi Potockiemu i dr. Zyblikiewiczowi. Jak w zeszłym tygodniu przy zapisie p. Malinowskiego wspomnieliśmy o zasklepieniu Pełtwi, tak przy nowej dotacji poważymy się wspomnieć o założeniu jednej szkoły rzemieślniczej, gdzieby nauczono nasze dzieci robienia choćby latarek papierowych, albo świec, albo perkalu, zwyczajnego białego szirtingu, które dziś sprowadzamy ze stron dalekich. — Na co się zdały muzea, na co się zdały kuratorje różnych kultur, szkoły różne i zakłady, kiedy nie umiemy świec zrobić dla siebie.

* * *

Do dwóch poprzednio już dostawionych portretów marszałków krajowych, przybyły nowe dwa hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i hr. Ludwika Wodzickiego, które, już były zawieszone w nowej sali sejmowej podczas odwiedzin cesarza.

Trzeba przyznać, że tym razem p. Rodakowski poprawił swoją opinją znakomitego portrecisty. Portret hr. Dzieduszyckiego jest arcydziełem i nie może się porównywać nawet z portretem księcia Sapiehy. Znawcy unoszą się, chwaląc znakomity modelunek czoła, tudzież całość postawy hrabiego. — O dziele Siemiradzkiego, pomówimy obszerniej na innem miejscu, tu tylko nadmienimy, że malując portret hr. Wodzickiego uniknąć potrafił tej sztywno fotograficznej pozy jaką ma portret hr. Potockiego, pędzla Matejki. Marszałek Wodzicki stoi oparty rękami na trybunie marszałkowskiej, laska jego spoczywa obok, i ta właśnie naturalność, tudzież nachylona nieco postawa marszałka, w jakiej zwykle się przedstawia, pozwoliła artyście oddać go takim, jak jest rzeczywiście, bez szukania innych efektów przy pozowaniu.

Muzeum techniczno-przemysłowe
w Krakowie.

Krakowskie Muzeum techniczno-przemysłowe powstałe ofiarnością i pracą Dra Adrjana Baranieckiego i rozwijające się pod jego światłem kierownictwem, nie dostąpiło jeszcze u nas takiego rozgłosu i uznania, na jakie bezwątpienia zasługuje. Dla tego, korzystając z ogłoszonego w tych czasach sprawozdania z dwunastoletniej działalności tej instytucji, podajemy o niej następujące szczegóły, które radzibyśmy jak najbardziej rozpowszechnić.

Początkiem Muzeum techniczno-przemysłowego krakowskiego było 5.000 okazów zebranych staraniem, a w części i kosztem dzisiejszego dyrektora Muzeum Dra Adrjana Baranieckiego w podróżach za granicą i na wystawie paryzkiej 1867 r., a które w 1868 złożył w darze miastu Krakowowi, z warunkiem, że miasto będzie się zbiorami opiekowało, i takowe utrzymywało. Gdy dar i warunki zostały przyjęte, ofiarodawca osiadł sam w miejscu, i zajął się uorganizowaniem zbiorów i bliższą nad niemi opieką, wspólnie z profesorem byłego Instytutu technicznego, Władysławem Rozwadowskim. Jednocześnie ofiarodawca otworzył przy Muzeum wyższe kursa naukowe dla kobiet, wykłady niedzielne popularne dla rzemieślników i szerszej publiczności, a w parę lat później sale rysunkowe i codzienne kursa handlowe dla mężczyzn. Po dwunastu latach istnienia, obecny stan Zakładu jest następujący:

Muzeum liczy do 30.000 (trzydziestu tysięcy) okazów tak surowych materjałów jako też wyrobów we wszystkich gałęziach przemysłu fabrycznego, domowego i rolnego i zastosowania sztuk pięknych do przemysłu i rzemiosł, powstałych przeważnie z darów osób z różnych dziel-

nic Polski, a w znacznie mniejszej części z zakupna. Narzędzi, przyrządów i modeli technicznych i przemysłowych, przyrządów fizycznych i t. p. Muzeum posiada do 180 sztuk.

Biblioteka muzealna liczy 3.500 dzieł i broszur, 170 map i planów i do 1.400 rycin i fotografij. Oprócz tego wyższy zakład naukowy dla kobiet posiada oddzielną bibliotekę z 2.000 dzieł złożoną, pochodzącą z własnego księgozbioru dyrektora Muzeum, lecz z powodu braku lokalu złożoną w pakach i oczekującą lepszych czasów.

Sala rysunkowa liczy 980 odlewów gipsowych, do 1200 sztuk pierwszorzędnych wzorów rysunkowych, znakomite wydawnictwo akwarel Hildebrandta z jego podróży naokoło ziemi, piękny manekin szkielet i figury anatomiczne z ostatniej paryzkiej wystawy, a także dostateczną ilość potrzebnych sprzętów i przyrządów.

Zbiór zoologiczny liczy 327 okazów zwierząt ssących i ptaków wypchanych, pochodzących z daru po ś. p. Drze Oszackim, do 400 okazów niższych zwierząt; 34 szkieletów i preparatów do porównawczej anatomii, 72 sztucznych modeli kwiatów, zielniki, znaczną liczbę tablic ręcznie wykonanych do profesorskich wykładów dla szerszej publiczności, nakoniec zbiór pism i alfabetów całego świata, z tekstem polskim, wykonanych bardzo starannie na miejscu w Krakowie, do wykładów profesora Estrejchera i mających do dwóchset metrów kwadratowych powierzchni, jedyny zbiór dziś istniejący do publicznych wykładów na tak wielką skalę i podziwiany przez cudzoziemców.

Laboratorjum chemiczne, zaopatrzone w potrzebne odczynniki, preparaty i przyrządy, aparat destylacyjny i piece chemiczne, umieszczone we własnem pomieszkaniu dyrektora.

Odlewarnia gipsów posiada 150 matryc, z których większa część wielkich ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu, prowadzona kosztem dyrektora Muzeum, i umieszczona w wyłącznie na ten cel przez niego wynajętem pomieszkaniu.

Właściwe Muzeum jako zbiory naukowe, utrzymywane jest kosztem miasta i ma zapewnione utrzymanie tak z tej strony, jakoteż z rocznej zapomogi 2000 zlr. udzielanych od kilku lat przez Sejm krajowy. Co do zakładów przy Muzeum istniejących, te równie jak i odlewarnia gipsów a po części i laboratorjum chemiczne, nie ciężą na funduszach publicznych.

Przy Muzeum istnieją:

1. Wyższy Zakład naukowy dla kobiet z pięciu wydziałami. Wykłady prowadzone są na stopę akademicką z zastosowaniem do obecnych potrzeb naszych kobiet, a mianowicie:

I. Wydział nauk przyrodniczych.
II. „ historyczno-literacki.
III. „ sztuk pięknych.
IV. „ handlowy.
V. „ gospodarczy.

Z tych trzy pierwsze są w zupełnem rozwoju. Wydział zaś handlowy dla braku funduszów i miejsca nie mógł być otwartym; — wydział gospodarczy dla tychże samych powodów ograniczać się musi jedynie tylko na wykładach gospodarstwa domowego kobiecego, poprzedzonego zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogólności.

Na wydziale sztuk pięknych oprócz odpowiednich wykładów jest oddział olejnego malarstwa z żywej i martwej natury, trzy oddziały rysunku wolnoręcznego z gipsów i ze wzorów, jeden krajobrazów, dwa rysunku jeometrycznego i zastosowania tegoż do przemysłu i ornamentyki i oddział drzeworytnictwa. Oprócz tego w bieżącym roku otwiera się oddział kompozycyjnego malarstwa w osobno na ten cel wynajętem pomieszkaniu. Studja uczennic były wystawione w dziale szkolnym na powszechnych Wystawach Wiedeńskiej 1873 r., i na Paryskiej 1878 r., na których uzyskały nagrody: na pierwszej medal bronzowy, na drugiej medal srebrny.

W ostatnich latach uczęszczało rocznie w przecięciu 130—140 uczennic, z tych 45—54 na oddziałach rysunkowych. Do zakładu przyjmują sie na wykłady panie, mające 16 lat skończonych, na oddziały zaś rysunkowe i młodsze panienki. Wszystkich słuchaczek wpisanych przez lat 12 było do 900 osób — wykładających i nauczających w ostatnim 1879/80 roku szkolnym było 25. z tych 12 profesorów i docentów uniwersytetu, 10 profesorów z innych zakładów naukowych i prywatnych osób, i trzy nauczycielki (wychowanki muzealne). Egzamina wprowadzone są jedynie dla tych pań, które życzą sobie mieć świadectwa z uczynionych w zakładzie postępów. Zakład utrzymuje się częścią z opłat uczennic, w części z własnych funduszów dyrektora zakładu. Opłata za wykłady wynosi na jeden wydział po 13 zlr. na kwartał (mniej więcej za 120 prelekcyj). Na oddziałach rysunkowych od 5—20 zlr. kwartalnie, stosownie do oddziału, na jaki jest zapisana uczennica. W ogóle płatnych uczennic jest około 85—90. Jedyną subwencją, jaką zakład otrzymał za cały czas swego istnienia, jest 400 zlr. od ministerjum handlu po wystawie wiedeńskiej, na potrzebne dzieła i środki pomocnicze naukowe.

2. Wyższy Zakład nauk handlowych dla mężczyzn istniał przy muzeum od r. 1870—77 przez lat siedm i podzielony był na kursa: przygotowawczy, pierwszy i drugi kurs handlowy. — W początkowym rozwoju było 15 profesorów wykładających, w ostatnich trzech latach z powodu braku funduszów, wykłady ograniczone zostały do teoretycznego jednorocznego kursu z 8miu wykładającymi profesorami. Słuchaczów w ciągu siedmioletniego ittnienia zakładu było 153. Wykładów wszystkich w ciągu tegoż czasu odbyło się 2523 godzin. Zakład utrzymywany był częścią z opłat słuchaczy, które wynosiły 13 zlr. kwartalnie za wszystkie przedmioty, częścią z prywatnych funduszów dyrektora; gdy zaś wobec rozwijającego się coraz więcej zakładu dla kobiet, wzrastały coraz więcej koszta utrzymywania tegoż, a pomocy znikąd nie było, zakład w 1877 r. został zwinięty. Jedynemi subwencjami, jakie zakład handlowy otrzymał przez cały ciąg swego istnienia, było 200 zlr. w 1872 r. jednorazowego zasiłku z izby handlowej krakowskiej i 6000 zlr. jednorazowej zapomogi z ministerjum handlu na 1876—77 rok szkolny z zastrzeżeniem, że wysokie ministerjum handlu nie będzie mogło takowego na przyszłość udzielać.

3. Wykłady popularne bezpłatne dla szerszej pulicznośći w niedzielę i święta odbywały się w muzeum premysłowem od chwili założenia takowego do 1876 r., w którym to czasie z powodu powiększenia ilości obowiązkowych szkół dziennych i wieczornych, a w części niedzielnych, ilość uczęszczających na niedzielne wykłady muzealne znacznie się zmniejszyła, zostały więc takowe chwilowo zawieszone do przyszłej reorganizacji samego muzeum i zdobycia obszerniejszego i dogodniejszego pomieszczenia. Do działalności muzeum techniczno-przemysłowego krakowskiego, zaliczyć także wypada wydawnictwa muzealne a temi są:

1. Album ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej, ozdobne wydanie z objaśniającym tekstem polskim, francuskim i niemieckim. Kraków 1878 in folio.

2. Bartolomeo Berecci, Architekt kaplicy Zygmuntowskiej, skreślił prof. Wład. Łuszczkiewicz. Kraków 1879 in 8 o.

3. Ozdoby budownicze z cerkwi w Kurtea d'Argyisch na Wołoszczyźnie jako wzory do nauk rysunku cyrklowego in 4-° z tekstem polskim, francuskim, niemieckim i angielskim. Tablice są już zupełnie gotowe, a tekst w końcu września wyjdzie z pod prasy. Oprócz tego do trzech innych wydawnictw przygotowane są tablice do druku i oczekują tylko nakładcy.

Nakoniec w zakres działalności tejże instytucji należy dodać wystawy, które odbyły się różnemi czasami w salach muzealnych z czynnym współudziałem zarządu, lub też całkowicie przez zarząd urządzone, jako to: Wystawa lekarsko przyrodnicza w czasie pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w 1869 r., wystawa chińsko-japońska w 1872 r., wystawa pism i alfabetów całego świata w 1873 r., wyrobów włościańskich polskich w 1879 r., i nakoniec wystawa przemysłowa urządzona w 1870 roku w Krakowie przez Stowarzyszenie rękodzielnicze „Postęp“, na które zarząd muzealny nie tylko oddał swe sale, lecz i czynnie popierał urządzający komitet skromnemi środkami, jakie naówczas były w jego rozporządzeniu.

Oto jest w streszczeniu działalność krakowskiego muzeum techniczno-przemysłowego w ciągu 12-tu lat i zarazem dowód, ile dobra wola i cnota obywatelska jednego człowieka zdziałać potrafi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Juljusza Słowackiego „Sen srebrny Salomei“ i „Książę Niezłomny“, oraz nowe wydanie Pieśni Jana Kochanowskiego, wyszły w znanej z taniości „Bibljotece Mrówki“.

*** W Warszawie wyszła książeczka p. t.: „Ziarnko do ziarnka“, rodzaj pamfletu na prasę warszawską.

*** „Walka Rusinów z Rusinami.“ Pod takim tytułem wyszła w tych dniach broszura, napisana przez Zbigniewa Polanina. Czysty dochód z rozsprzedaży tej broszury, przeznaczony na wydatki wzniesienia kopca Unji lubelskiej we Lwowie. Cena 30 centów.

*** Tom II. dzieła „Dzieje starożytne“ przez Ludomira Szczerbowicza Wieczora (Grecja), opuścił prasę drukarską.

*** W Paryżu wyszła książka „Correspondance des deux diplomats“, obejmująca myśli hiszpańskiego myśliciela Domaso Cortesa i hr. Atanazego Raczyńskiego, który był długi czas posłem pruskim przy dworze madryckim. Rzecz ta w niczem Polski nie dotyczy.

*** Dr. Juljan Ochorowicz ogłasza następujące sprostowanie:

W ostatnim zeszycie „Encyklopedji wychowawczej", w artykule moim p. n. „Ambicja" znalazłem ze zdumieniem całe zdania i okresy nie tylko bez mojej woli i wiedzy dopisane, ale nawet częstokroć w kwestjach najbardziej zasadniczych wręcz moim przekonaniom przeciwne.

Nie chcąc z łaski pana poprawiacza uchodzić za odstępcę własnych zasad, zmuszony jestem odwołać się do sądu opinji publicznej i tym sposobem, przynajmniej w przyszłości, podobnym nadużyciom zapobiedz.

Każda redakcja ma prawo robić własne przypiski i zastrzeżenia, poprawiać styl, a nawet modyfikować lub opuszczać zwroty, które jej się wydają niewłaściwe, ale w żadnym wypadku nie ma prawa narzucać autorowi myśli i intencyj, którychby sam nie podpisał.

W przeciwnym razie fałszowanie weksli miałoby także swoje usprawiedliwienie.

Mam nadzieję, że współpracownicy „Encyklopedji wychowawczej" uwolnieni będą nadal od tego rodzaju postępowania.

Juljan Ochorowicz.

*** „Ateneum w zeszycie za miesiąc wrzesień zawiera: I. Szkice z Anglji przez Sewera II, Szlachta w świetle własnych opinij, studjum historyczne przez Wład. Smoleńskiego. III. Wolność nauczania we Francji wobec uroszczeń państwa i kościoła, przez I. T. Hodiego IV. Sylwek Cmentarnik, przez E. Orzeszkowę. V. O utworzeniu u nas szkoły wyższej technicznej, przez Marjana A. Baranieckiego. VI. Rozbiory i sprawozdania. 1. Encyklopedja wychowawcza, przez P. Chmielowskiego. 2. Kiejstut Tragedja Adama Asnyka, w tłumaczeniu niemieckiem M. v. Redena, przez P. Chmielowskiego. 3. Nazwy miejscowe polskie w Prusach, przez E. Calliera. 4. Wielka rodzina w wielkim narodzie, przez L. P. Leliwę. VII. Kronika naukowa. VIII. Kronika miesięczna.

*** „Przegląd Polski" w zeszycie za miesiąc Wrzesień zawiera: I. Z dzieła prof. Smolki „Mieszko stary i jego wiek." Rozdział III. Państwo. 2. Jeszcze o uczoności Trembeckiego i kilku nieznanych jego tłumaczeń poetyckich przez St. Tomkowicza. 3. Szkice z podróży do południowej Afryki, odbytej w latach 1875 i 1877. X. Rzeka Caledon i kraj Basuto, przez Ant. Rehmana. 4. Kwestja polska w literaturze rosyjskiej (Sprawozdanie z artykułu profesora uniwersytetu petersburgskiego A. Pypina) przez L. Kozłowskiego. 5. Przegląd polityczny. 6. Kajetan Morawski (wspomnienie pośmiertne) przez St. Tarnowskiego.

*** „Gazeta Rolnicza" w Nrze 37 z r. b. zawiera: 1. Projekt ustawy leśnej Królestwa Polskiego. 2. Drugi międzynarodowy targ zbożowy we Lwowie, przez Jana Jeleńskiego. 3. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 4. Pogadanki naukowe, przez B. Abakanowicza. 5. Listy z Czech, przez Lemiesza. 6. Przegląd polityczny. 7. Wiadomości bieżące. 8. Rozmaitości. 9. Kurjer rolniczy. 9 Odcinek zawiera: Bolesna droga, przez Sygurda Wiśniowskiego.

Nauka.

*** Jan Kozłowski, inżynier, i Wacław Garsztowt, znany z prac naukowych, otrzymali francuską dekorację *officier d'académie.*

*** W Szczecinie w dniach od 27. do 30. września odbywać się będą obrady trzydziestego piątego zgromadzenia niemieckich filologów i nauczycieli.

*** W Turynie nastąpiło uroczyste otwarcie obrad międzynarodowego kongresu hygienicznego. Przemawiali mer Turynu i delegaci Francji, Belgji, Niemiec, Hollandji, Rumunji, Szwajcarji i Grecji. Na kongresie, króla zastępuje kanclerz państwa.

*** Wpływ gimnastyki na oddychanie. Pan Marcy przedstawił akademii nauk paryzkiej rezultaty ciekawych swych badań nad zmianami w oddychaniu pod wpływem ćwiczeń cielesnych. Doświadczenia swoje odbywał on przy współudziale doktora Hilaire w r. 1874 w szkole gimnastycznej wojskowej w Vincennes. Wiadomo, że ćwiczenia cielesne u osób do nich nieprzyzwyczajonych, sprowadzają duszność czyli silniejszy i szybszy oddech, niż w spokojnym stanie. Jest to wynikiem szybszego krwi obiegu, krew bowiem przychodząc z żył obficiej do prawej połowy serca, a następnie przechodząc przez płuca, wymaga szybszego i głębszego oddechu. W rzeczy samej dowiedzioną jest rzeczą, że krew tem łatwiej przepływa przez płuca, im oddech płuca te bardziej rozszerza i zwiększa układ ich naczyniowy. Otóż ćwiczenia cielesne, bieg naprzykład, stopniowo zwiększa oddech, stosując go odpowiednio do szybszego przepływu krwi przez płuca. Zwiększona zaś ilość oddechu wywołuje ogromne rozszerzenie klatki piersiowej i znaczne zwolnienie jej ruchów.

Marcy wynalazł niewielki przyrząd, nazwany *pneumografem*, za pomocą którego ruchy kolejne wydychania i wdychania oznaczają się za pomocą linji krzywej, kreślonej ołówkiem na papierze. Wyniesienia tej krzywej, czyli obszerność poruszeń oddechowych, są prawie ściśle proporcjonalne do objętości wydychanego powietrza.

Sprawdziwszy, że żołnierze gimnastykujący się już od kilku miesięcy, mają po odbytym biegu oddech głębszy i wolniejszy niż nowozaciężni, p. Marcy chciał się przekonać, w jaki sposób dokonywa się ta zmiana. W tym celu wybrał pięciu żołnierzy ze świeżo przybywających do fortecy i nieoddających się dotąd ćwiczeniom gimnastycznym. Oddech każdego z nich podczas spoczynku notowano, a następnie robiono tożsamo natychmiast po przebieżeniu 600 metrów krokiem gimnastycznym. Długość biegu wynosiła około 4ch minut. Pierwsze to doświadczenie zrobiono 19. sierpnia. W miesiąc później zrobiono drugie w takichże warunkach. 21. września za pomocą pneumografu otrzymano linję oddechu przed przebieganiem i po niem. Typ normalny oddechu znaleziono już zmienionym: szerokość ruchów klatki piersiowej w spoczynku podwoiła się przeszło. W taki sposób od miesiąca do miesiąca notowano zmianę w oddechu młodych gimnastyków. Prócz małych nieprawidłowości, zdarzających się zawsze w ruchach oddechowych, pokazało się wyraźne zwiększenie ich obszerności i zmniejszenie liczby. Porównanie dwóch szeregów linji wykazało, że z początku oddech znacznie się zmieniał pod wpływem biegania, ale ku końcu doświadczeń, czyli po 4 lub 5 miesiącach ćwiczeń gimnastycznych niepodobna było oznaczyć zmiany jego w tym razie, jakkolwiek bieganie nieco szybszem było, bo 600 metrów przebiegano w 3 minuty 50 sekund.

Przekonano się również, że zmiana oddechu urwała się, tj. pozostaje stałą, nawet podczas spoczynku. Liczba oddychań zeszła stopniowo z 20 na 12 w minucie, a obszerność ich zwiększyła się w czwórnasób przeszło. Można więc wnosić, z tego, że młodzi ci żołnierze w skutek gimnastyki zaczęli oddychać co najmniej dwa razy większą ilością powietrza, niż przed wstąpieniem ich do szkoły.

Sztuki Piękne.

*** Dwa starożytne obrazy, zdaje się z XIV wieku, znajdujące się w katedrze Wawelskiej, przedstawiające św. Stanisława i św. Wojciecha, malowane na drzewie (6 stóp wysokie), bardzo zniszczone i za niepodobne do odnowienia uważane, zostały wyrestaurowane przez p. Ludwika Łepkowskiego (część malarska i artystyszna) oraz przez p. Eliasza (rzeźbiarska i stolarska), kosztem funduszu krajowego, a pod nadzorem ks. Polkowskiego.

*** W Petersburgu, obok kilku teatrów rosyjskich, jednego francuskiego, włoskiego i niemieckiego, otwarty wkrótce zostanie teatr żydowski. Odpowiedni gmach już wynajęty został i urządzony. Dyrektorem licznej i uzdolnionej trupy będzie znany pisarz żydowski, p. Goldfaden.

*** Karol Gounod za najnowsze swoje oratorjum p. t. „Wybawienie" żąda 100,000 franków wynagrodzenia; zdaje się, iż kupno przyjdzie do skutku pod temi warunkami.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Bocheński oddział Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego, urządził misję do włościan w Chełmie, w celu zapoznania ich z postępami pszczelnictwa i ogrodnictwa, a to aby podnieść ich środki wydźwignięcia się z nędzy. Konferencja była wsparta doświadczeniami roboty ulów słomianych i t. p.

*** W Warszawie mają podobno zbudować wielką przystań dla statków parowych.

*** Londyn, olbrzymia stolica angielska niepomiernie wzrasta; w roku 1879, według danych urzędowych, wybudowano tam 21,589 nowych domów, tworzących 401 nowych ulic i dwa nowe skwery o ogólnej długości 71 mil angielskich i 468 jardów.

*** Według nadeszłych tu z Hawanny wiadomości, ogólny tegoroczny zbiór cukru na Kubie wynosił 545.000 tonn, w roku zaś ubiegłym 680.000. Wywóz do Europy w ciągu siedmiu ostatnich miesięcy dosiągł 39.722 tonn, a w roku poprzednim 137.415. Do Stanów Zjednoczonych wywieziono w ciągu siedmiu miesięcy 370.255 tonn, a w tymże czasie roku poprzedniego 421.818 tonu.

*** Według amerykańskich dzienników eksperyment dra Tannera okazał się wcale korzystnym, przynajmniej dla kieszeni „wielkiego pościciela."

Tanner zarobił mianowicie następującą pokaźną sumkę: wskutek własnego zakładu 5.000 dolarów, wskutek zakładu ajencji 12.223 dolarów, za sprzedaż swoich fotografij 1.500 dolarów, za wstęp od odwiedzających go 78.915 dolarów, od wielu fabrykantów za pozwolenie ozdabiania towarów jego nazwiskiem 21.102 dolarów, podarunek uniwersytetu 3.000 dolarów, podarunek stanu Ohio 5.000 dolarów, z domu Liebig i sp. 20.000 dolarów, razem 137.640 dolarów.

Odkrycia i wynalazki.

*** Otrzymaliśmy list następujący: Niżej podpisany jest wynalazcą nowej, czysto mechanicznej metody otrzymywania kopij kolorowych z obrazów olejnych. Metoda ta może w zupełności i w korzystny sposób zastąpić t. z. „Oeldruck". Przedsiębiorca, chcący wejść w układ lub spółkę z niżej podpisanym, celem utworzenia zakładu artystyczno-przemysłowego, zechce się zgłosić listownie pod adresą: Feliks Zwoliński — Technik — Szare — o. p. Milówka.

Załączam prośbę do innych czasopism polskich o powtórzenie w swych szpaltach niniejszego ogłoszenia.

Szare, d. 31. XVIII. 1880 r.

Feliks Zwoliński.

*** P. Magnuski, Polak, urodzony we Francji, nauczyciel matematyki w szkołach paryskich, wynalazł przyrząd, zwany: *Epures reliefs* do rysowania rzutów linji, płaszczyzn i t. d. w przestrzeni, a to celem ułatwienia wykładów geometrji wykreślnej.

*** W Neutne (na Węgrzech), znaleziono 800 monet polskich z czasów Zygmunta III.

*** P. Coggia w Marsylji odkrył nowego planetę nr. 217 dwunastej wielkości.

*** *Brak elektryczny.* W ostatnich czasach powstał projekt nowego zastosowania elektryczności jako siły pociągowej przez wyłożenie ulic żelazem czyli płytami z tego metalu ułożonemi w ten sposób, żeby tworzyły nieprzerwany przewodnik podzielony na sekcje, z których każda otrzymywałaby elektryczność za pośrednictwem machiny parowej stałej i machiny dynamo-elektrycznej odpowiedniej wielkości. Po bruku podobnym mogłyby biedz w każdym żądanym, kierunku wagony, powozy, sikawki, omnibusy itp. opatrzone w koło ruchowe elektryczne, przyciągane przez bruk żelazny, a to nie gorzej, jak obecnie ciągnione końmi. Nie przeszkadzałoby to bynajmniej zwykłej jeździe po ulicach, a bruk żelazny tu i ówdzie już używany bywa. Pomysł ten powinienby zwrócić na siebie uwagę fizyków i mechaników.

ROZMAITOŚCI.

SZYK.

Wyraz to stosunkowo nowy, świeżo bowiem wprowadzony został w słownik mowy potocznej.

Pochodzenie jego francuskie, ale znaczenie ma nieokreślone, trudno bowiem powiedzieć dokładnie co jest właściwie *szyk* i na czem zależy.

Nie jest to elegancja, ani szlachetność obejścia, ani takt w życiu, ani umiejętość obcowania z ludźmi, jest to coś pośredniego pomiędzy tem wszystkiem; *szyk* zapożycza trochę tego lub owego, żeby wytworzyć jakieś odrębne, sobie właściwe odcienia.

Salonowy sprawozdawca jednego z paryskich dzienników określa *szyk* w sposób następujący:

Wyraz ten czysto paryski wyszedł z pracowni malarskiej i zachował cechy swego pochodzenia.

Czuć go trochę tytuniem i kawiarnią, a pomimo tego przyjęty on i aklimatyzowany został u najpiękniejszych kobiet i najświetniejszej młodzieży salonowej stolicy mody; doskonale on maluje to co chce powiedzieć, a prawa jego obywatelstwa tak są już uznane, że dzieli się na dwa rodzaje: *szyk prawdziwy* i *szyk fałszywy*.

Szykowną jest rzeczą pochodzić ze szlacheckiego rodu, ale nie każdy potomek szlacheckiego rorodu jest szykowny.

Wielu znaleźć można milionerów, którzy nie mają najmniejszego wyobrażenia o tym wyrazie i o tem co on za sobą pociąga.

Młody człowiek szykownie wychowany powinień umieć jeździć konno, pływać, grać w *lawntennis* i w *polo* jak Anglicy.

Bilard należy do *szyku*, ale domino nie.

Człowiek szykowny w r. 1880, ubiera się bardzo prosto, ale stosownie do okoliczności; dopiero o czwartej z południa może zdjąć bonżurkę albo marynarkę i włożyć na siebie tużurek, w przeciwnym razie wzięto by go za notarjusza, który przychodzi akt spisywać; od siódmej z wieczora nosi się frak, bezwarunkowo i zawsze, z wyjątkiem lata, które ma swoje odrębne zasady.

Klejnotów trzeba unikać, wystarcza jeden pierścionek na palcu i szpilka w krawatkę wpięta — najmodniejsze pierścionki męzkie są obecnie bardzo szerokie z oprawnym w nie drogim kamieniem — kocie oko i szafir są *szykowne*, ale szmaragd nie — wieczorem nosi się spinki do koszuli z trzech małych pereł — zrana szpilka do krawatki może być fantazyjną, ale wieczorem tylko trójlistek z drogich kamieni, albo duża perła — czasem można oprawić w szpilkę jaką piękną kameę, to nie wadzi — spinki do rękawów od koszuli powinny być kosztowne, ale nie trzeba ażeby to znać po nich było.

Należy do *szyku* ubierać się u angielskiego krawca; można mieć na sobie stare suknie, ale bielizna musi być bez zarzutu.

Najgrubsze sukno wiejskie, nawet siermięga, może wybornie posłużyć za ubranie księciu francuskiemu albo lordowi angielskiemu, ale koszule muszą być całkowicie wyrobione z cienkiego płótna a skarpetki winny być jedwabne.

Wszystko co się nazbyt narzuca oczom jest fałszywym szykiem; oryginalne ubranie, fantazyjne powozy, krzycząca liberja; człowiek jednak żonaty, powinien przy znaczniejszych uroczystościach stroić swoich ludzi w bogatą liberję — barwa musi być herbowa — nieżonatego liberja winna być zawsze piaskowej barwy; wyjmują się z pod zasady ambasadorzy i wielcy panowie, zmuszeni zawsze do świetnej wystawy.

We Francji najznakomitszym znawcą *szyku* jest książę de Sagan — rozpowiadają o nim różne historje.

Oto jedna z nich.

Książę, kilka lat temu, bawił w Johannisbergu u księcia Meternicha; ale nie podobało mu się urządzenie domu, począł więc dawać rady.

Choć więc był spory zapas sreber rodzinnych, zakupiono nowe serwisy stołowe, w wielkim stylu; sprzętów również trzeba było sprawić nie mało.

W chwili wyjazdu, książę mówił już o zburzeniu pewnej części pałacu, która mu się nie podobała.

Wprawdzie księżna Meternich była wielką stronniczką księcia de Sagan i pochwalała wszystkie te zmiany, ale sam gospodarz innego był zdania.

Więc przy pożegnaniu, kiedy książę de Sagan rzekł do niego:

— Do widzenia w roku przyszłym, tutaj nie mało jeszcze do roboty.

Meternich odpowiedział:

— Proszę cię bardzo, powróć dopiero do nas za dwa lata; gotów jesteś zrujnować mnie do szczętu.

Człowiek *szykowny* w r. 1880 bardzo mało zajmuje się polityką.

Wszystkie sztuki należą do *szyku*, a głównie malarstwo; ludzie szykowni pisząc co przybierają pseudonym, ale pod obrazami podpisują się całem imieniem i nazwiskiem.

Szyk nakazuje kupować rozmaite kosztowne graciki — zakupna owe dzielą się na kategorje — obrazy szkoły włoskiej przestały być *szykowne* — szkoła flamandzka teraz górą, oraz francuska z XVIII wieku.

Medale pozostawiają się uczonym, sztychy artystom; arcyszykowną jest saska porcelana, na starą serwską nie ma dość wysokiej ceny, fajanse są bardzo poszukiwane.

I wieki należą do szyku, mianowicie XVI i XVIII; Wiek Ludwika XIV jest wielki i wspaniały tylko czuć go peruką.

Szykownem jest należeć do akademji francuskiej, albo nawet tylko uczestniczyć w jej posiedzeniach; ale akademik, któryby chciał być *szykownym* byłby śmiesznym.

W literaturze istnieją dwa rodzaje szyku.

Oktawjusz Feuillet, Barbey d'Aurevilly, Meilhac, Halevy, Gustaw Drooz, Quatrelles, Pontmartin są autorami szykownymi; innym, n. p Alfonsowi Daudet, który jest autorem wielce poczytnym i wielce cenionym, brak jest szyku.

Pomiędzy zmarłymi już odznaczali się szykiem Alfred de Musset, Teofil Gautier i pani Girardin.

Przyznać trzeba, że poezja chociaż jest językiem bogów, nie bardzo podoba się światowcom; z pomiędzy poetów jednak odznaczali się szykiem lord Byron i Lamartine.

Pod panowaniem Ludwika Filipa należało do najwyższego szyku, jeżeli Wiktor Hugo zgodził się w jakim salonie prywatnym wiersze deklamować; zdarzało się to czasem u samego poety, u wicehrabiny de Nansouty, albo u pani Pradier.

U księżnej Orleańskiej, pomimo częstych zaproszeń, poeta nie chciał deklamować nigdy, twierdził bowiem, że towarzystwo tam uczęszczające nie dość zażyłe ze sobą.

Pomiędzy statystami *najszykowniejszym* był hrabia de Morny; z dzisiejszych jenerałów odznacza się szykiem margrabia de Galliffet; książę Decazes posiada wiele *szyku*, ale panu Challemel Lacour brak jest zupełnie tego przymiotu: Gambeta nie jest sam szykownym, mowy jednak jego odznaczają się *szykiem*, a i komplimenta, które mówi kobietom mają też samą cechę.

Są kraje i miasta *szykowne*, są i takie, którym brak zupełnie *szyku*.

Podróż do Szkocji jest bardzo szykowną, ale do Włoch nie.

Można bezpiecznie powiedzieć wykwintnisiowi bulwarowemu, że wygląda na Anglika lub Austrjaka ale obrazi się gdy mu się powie że ma minę Włocha lub Niemca.

Jako miasta do pobytu letniego lub zimowego odznaczają się *szykiem:*

Trouville, Dieppe, Pau, Biarritz, Luchon, Cannes, Nizza etc. — pobyt na wiosnę w Paryżu należy do *szyku*, ale na jesień nie — jesień trzeba przepędzać na wsi — polowanie jest szykowną rozrywką, rybołowstwo nie.

Obejście człowieka wielkiego świata powinno być proste i grzeczne z równymi, uprzejme z niższymi, a swobodne w każdym razie.

Ludzie *szykowni* grzecznie przemawiają do służących, a jeżeli bywają często w jakim domu, mogą nieraz przemówić parę słów w przechodzie do zaufanego służącego.

Jakkolwiek tacy ludzie są bardzo uprzejmi, w sklepie jednak albo w kawiarni powinni zachować kopelusz na głowie; spotkawszy jednak na schodach nawet prostą garderobianę, obowiązani są do odkrycia głowy.

Pieniądze są wykreślone ze słownika salonowego — nie powinno tam być mowy o nich — nie trzeba, ażeby z rozprawy można było poznać, że ktoś jest bogatym albo ubogim — nigdy człowiek szykowny nie powie „mój zamek,“ albo „moje dobra“ — powie „u mnie,“ albo „w X“ — nie należy pytać się przyjaciela wiele kosztuje to co się u niego zobaczyło, ale w sklepie można i trzeba się targować — właściciele sklepu, jeżeli widzą kogoś kupującego wiele bez targowania się, pomyślą sobie zaraz „to dorobkiewicz.“

Człowiek jednak szykowny targuje się kiedy sam wchodzi do sklepu, w towarzystwie nigdy.

Nie objawia się również swojego zajęcia; człowiek *szykowny* nigdy nic nie powinien robić.

Powozy mają być dobrze utrzymane i to stosownie do okoliczności; nowy *brougham* z błyszczącemi szorami na konie i pokaźną liberją, zrana, należy do złego tonu.

Anglicy zużywają umyślnie lakier nowych *broughamów*, żeby się wydawały staremi, a służba ich przybrana jest w szaraczek ze srebnemi guzikami.

Powozy równie używają się do załatwienia interesu lub sprawunków; rzecz użyteczna nie powinna być zbytkową.

Są teatra *szykowne*, aktorki *szykowne* i sztuki *szykowne*.

I z dzielnicami miasta tak samo się dzieje; przedmieście Saint-Germain jest arystokratyczne, ale pola Elizejskie *szykowne*.

Szykowna miłość i kobieta *szykowna* wymagają osobnego rozdziału.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 38. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.